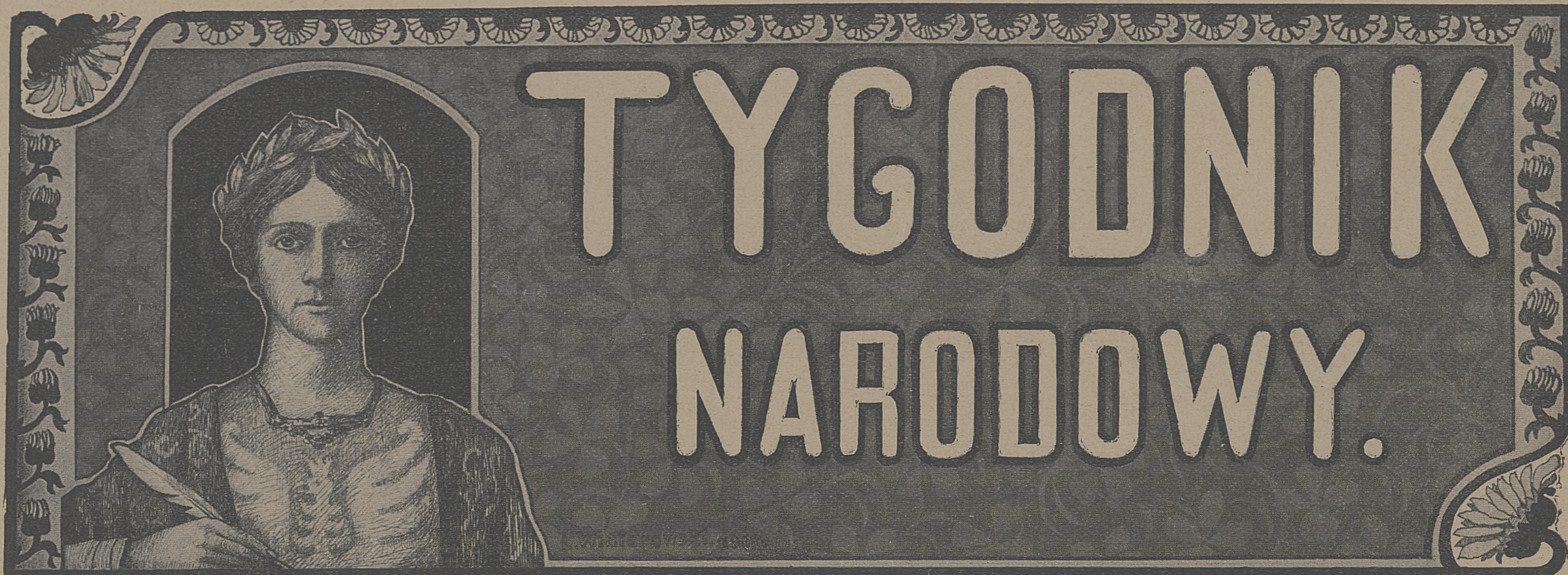
Rok 1900. Lwów, 28. października. Nr. 55.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. II.

Treść Nr. 55:

L. Winterowski.

ZADUSZKI
na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Pr. 211/00
2



W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489. i 493. p. k. i §. 37. u. pr., że treść artykułu umieszczonego w Nr. 53. czasopisma: „Tygodnik narodowy“ z dnia 14. października 1900 pod napisem „Watykan i Austrya“ od słów: „Pierwsze wystąpienie“ do “odwagi“ zawiera znamiona zbrodni z §. 63 u. k, zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

POWODY:

W inkryminowanym ustępie poddaje autor udzielone z polecenia Najjaśniejszego Pana arcybiskupowi w Serajewie ks. Dr. Stadlerowi napomnienie krytyce, naruszającej cześć należną Monarsze, przedstawiając, że tenże biskup otrzymał naganę za ujęcie się krzywd kroackich i że wydanie takowej przez Najjaśniejszego Pana było spowodowane tylko polityką madziarską, której uległ — co zawiera znamiona zbrodni z §. 63 a. u. k

Do redakcyi czasopisma: „Tygodnik narodowy“ na ręce redaktora p. Strzeleckiego we Lwowie.

Lwów, dnia 18. października 1900.

Przyłuski.

Socyaliści wobec religii i narodowości.

Nie została jeszcze wyczerpaną dyskusya na temat stosunku stronnictw socyalno-demokratycznych do religii i narodowości pomimo, że polska partya socyalistyczna od pewnego czasu w drukowanych dla ogółu swoich manifestach i odezwach oświadcza stanowczo, iż religii nie dotyka, a narodowość uznaje i nawet pragnie jej bronić.

Polscy socyaliści jednakże, lub — lepiej się wyrażając — socyaliści w Polsce, stanowią tylko grupę ogólnego związku socyalistycznego Europy, a tem samem w zasadniczej swej działalności podlegają kierunkowi i wskazówkom swych przewódców międzynarodowych, względnie kongresów. Pomimo zatem, że nawet w najświeższej odezwie wyborczej socyalistów galicyjskich wyczytaliśmy ponowne zapewnienie, co do narodowego kierunku ich pracy, nie bez korzyści będzie dowiedzieć się, co o tej sprawie głoszą kierujący całym ruchem socyalistycznym komendanci, którym nasi „towarzysze“ podlegają.

Leży właśnie przed nami zeszyt 46 wychodzącego w Stuttgardzie, pod redakcyą znanego Karola Kautsky'ego, czasopisma "Die neue Zeit“. Jest to duchowy pokarm i zarazem jeden z najpoważniejszych organów konfraternii socyalistycznej w Europie, a tem samem zaczerpnięte zeń wiadomości i opinie nie ulegają wątpliwości, co do swego znaczenia w socyalizmie.

W powołanym zeszycie jeden z naukowych apostołów socyalistycznych E. Belfort-Bax, krytykuje dziełko prof. Sombarta o socyalizmie, a przy tej sposobności określa stosunek socyalizmu do religii i narodowości w sposób tak stanowczy i jasny, że wystarczy podać czytelnikom dosłowne tłumaczenie odnośnego ustępu.

W polemice swej p. Belfort-Bax pisze tak:

„Zamiarem moim jest, nie tyle objaśnić poglądy, jakie prof. Sombart wypowiada o historycznym rozwoju socyalizmu, jak raczej bliżej rozpatrzeć krótki jego sąd o stanowisku ruchu socyalistycznego w stosunku do religii i narodowości, sąd, zawarty w siódmym rozdziale jego pracy, zatytułowanym „Prądy współczesne“. Jeżeli prof. Sombart jest zwolennikiem ścisłego rozróżniania czynników, jakkolwiek one należą do jednego i tego samego procesu rozwojowego, to znowu tutaj w opiniach swoich skłania się raczej do łączenia w jedność elementów, co do rozwoju swego wręcz odmiennych, a czyni to przynajmniej w odniesieniu do przyszłości.

„Rozpatrzmy jego twierdzenia odnośnie do religii i narodowości. Jako przyczyny przeciwieństwa ruchu robotniczego do religii dogmatycznej, wymienia Sombart:

„1. Odziedziczenie liberalnego uświadomienia;

„2. Niejasne odczucie, względnie wyraźną świadomość tego, że w owym światopoglądzie materyalizmu kryje się bez wątpliwości potężny żywioł rewolucyjny, zdolny do wyzucia z panowania wszelkie istniejące powagi na wszystkich terenach.

„Co do pierwszego punktu, nie da się zaprzeczyć, że tz. uświadomienie liberalne było poważną dźwignią duchowego postępu dla wszystkich sfer społeczeństwa. W wielu punktach odpowiadało ono pierwotnej polityce liberalizmu, dla której usunięcie feudalnego i biurokratycznego kramu było zadaniem głównem. Obadwa były także nieodzownemi warunkami do wyzwolenia zarówno proletaryatu, jak i burżoazyi, a tem samem do rozwoju współczesnego socyalizmu. Że konstruktywna strona tego liberalizmu, zarówno pod względem spekulacyjnym, jak politycznym, wielce była wadliwą, to rzecz stwierdzona oddawna. Przyjmuję jednak, że bądź co bądź, *in abstracto*, „uświadomienie“ było istotnie konsekwentnie ideologiczną formą liberalizmu; ale historycznie, klasycznym, ideologicznym wyrazem jego był protestancki chrześcianizm.

„Jeżeli zatem pewna część najbardziej postępowych żywiołów, w czasie najwyższego rozwoju szkoły liberalnej, podległa uświadomieniu i zaatakowała religię objawioną, to ta antyreligijność może być uważaną za naturalne i cenne dziedzictwo ruchu robotniczego równie, jak i opozycya przeciw przeżytym ustawom i ustrojom feudalnym i biurokratycznym. O zmianie tych obu spadków może być mowa o tyle tylko, o ile one cel swój osiągnęły, t. j. o ile przedmiot ich ataków albo zupełnie zniknął z widowni, albo też stał się bezsilnym. Jak długo atoli religia pozytywna stanowi potęgę, tak długo pozostają w swej mocy obadwa motywy, zmierzające do uwolnienia społeczeństwa z pod władzy dogmatów...

„A jednak, zdaje się, że prof. Sombart coś podobnego przypuszcza, skoro na str. 9. pisze: „Stanowisko dogmatycznego ateizmu można dzisiaj uważać za pokonane. Żaden z powyższych przedstawicieli nauki, jakiemkolwiek byłoby jego stanowisko, nie odważy się dzisiaj twierdzić, jakoby nauka popierała ateizm i wykluczała religię“. Tym sposobem stanowisko proletaryatu wobec religii, byłoby całkowicie swobodnem i niezależnem, gdyby przyczyną jego niewiary było owe przeistoczenie się dogmatyzmu w przyrodniczy.

„Chociaż niektóre argumenta, naprowadzone dawniej na rzecz dogmatycznego ateizmu, nie mogą się dzisiaj utrzymać, to pomimo to, pozwolę sobie zauważyć, że stanowisko proletaryatu wobec religii (która u prof. Sombarta jest identyczną z chrześciaństwem), bezwarunkowo nie może być uznanem za zupełnie swobodne i niezawisłe. Różnica pomiędzy dzisiejszym agnostycyzmem naukowym, a dawnym, dogmatyczno-materyalistycznym ateizmem jest tylko teoretyczną. W rzeczywistości zaś dzisiejsza wiedza jest równie, a może więcej jeszcze ateistyczną w dosłownem znaczeniu wyrazu, t. j. w każdym kierunku bez-bożną, a tylko dzisiaj dla zadowolenia maluczkich, wygłasza z naciskiem dość zresztą pustą prawdę, że nieistnienia istoty boskiej udowodnić nie jest w stanie. Niebardzo wymagającym jest z pewnością ów wierny, co takim logicznym sofizmatem da się zadowolić.

„Tego rodzaju sztuczki, zmierzające przynajmniej do formalnego, lub choćby nominalnego ratowania religii, zadowolą— być może — pewne sfery społeczne, ale dla proletaryatu, względnie dla socyalnej demokracyi, są one i nonsensem i bezprzedmiotowemi. Ci ostatni (socyalni demokraci) nie widzą żadnego powodu, dla któregoby miało się taić prawdę oczywistą, że cała teologia z jej artykułami wiary dawno już zbankrutowała w oczach ludzi myślących. Jeżeli zaś socyalna demokracya nie zapala się dzisiaj do propagandy antyreligijnej, to czyni to tylko dlatego, że cała ta sprawa teologiczna jest już dla niej „chose jugée“.

„Drugie źródło, powodujące wrogie usposobienie proletaryatu dla religii, upatruje prof. Sombart, — jak to powiedziano wyżej — w poczuciu, iż religia jest potęgą konserwatyzmu, że jest jedną z głównych dźwigni istniejącego porządku i że w przeciwnym światopoglądzie „tkwi żywioł potężny i rewolucyjny, zdolny do wyzucia współczesnych powag na wszelkich terytoryach“. Nie ulega wątpliwości, że taki motyw mógł odgrywać rolę niejednokrotnie Ale istota tego, iż demokracya socyalna pozostaje w przeciwieństwie z chrześcianizmem, spoczywa o wiele głębiej. Chrześciaństwo nietylko opiera się, co do swej istoty, na światopoglądzie nadnaturalno-mistycznym, ale jest zarazem w gruncie rzeczy indywidualistycznem, a tem samem może ono być tylko idealnym wyrazem ekonomicznie i politycznie indywidualistycznego społeczeństwa. Napozór socyalistyczne frazesy, jakie spotkać można w chrześcianizmie, stanowią w gruncie rzeczy tylko jego powierzchnię. Podstawą pozostaje zawsze stosunek duszy jednostki do istoty nadziemskiej, do Boga. I to jest środowiskiem przewodniej myśli w religii chrześciańskiej. Wszystko inne, jeżeli nie drobnostka, to w każdym razie gra tam rzeczą podrzędną“.

„Pierwotne religie ludzkości, jako wyraz ówczesnego życia społecznego, opierały się na komunizmie rodu i szczepu, a ich istotę stanowił stosunek pomiędzy bóstwami szczepów a społecznością. W przeciwieństwie do tego, chrześcian-

stwo opiera się na mistycznym stosunku duszy indywidualnej do mistycznego, niebiańskiego bóstwa. A właśnie takie pojmowanie rzeczy — jak zapewne sam prof. Sombart nie zechce przeczyć — jest socyalizmowi nietylko zupełnie obcem, ale poprostu wręcz przeciwnem. Osią najwyższego ideału socyalizmu podobnie, jak było w pierwotnych społeczeństwach, pozostanie zawsze inna miara i inny stosunek, a to: społeczność i jej pomyślność na ziemi".

„Przez powyższe motywy sądzę, że odpowiedziałem na pytanie Sombarta, dlaczego chrześciaństwo nigdzie i nigdy nie może być religią proletaryatu, względnie religią socyalnej demokracyi. Może być prawdą, że w historycznym swym rozwoju chrześciaństwo akomodowało się do warunków politycznych i ekonomicznych, wszystko to jednak w wypadku niniejszym nie decyduje o niczem. Albowiem zarówno Rzym dekadencki, jak pełni siły młodzieńczej Germanie, jak feudalizm i hegemonia miast większych w wiekach średnich, jak w końcu burżoazya, tkwią całkowicie w odmętach nadnaturalnego na świat poglądu. I z tego względu mogły one łatwo przystosować sobie chrześciaństwo, które na tej samej urosło podstawie; przynajmniej nie było do przystosowania przeszkody zasadniczej. Ale dzisiaj rzeczy przedstawiają się inaczej. Dla ludzi myślących dziedzina nadnaturalności przestała istnieć oddawna, a ci, co jeszcze uznają ją z pewnemi zastrzeżeniami i jedynie formalnie, ściągają na siebie słuszne podejrzenie o komedyanctwo, a przynajmniej o nieszczerość. Krótko mówiąc, w świecie zdobywa sobie przewagę pogląd wręcz odmienny.

„Z chrześciaństwa, któreby wystąpiło, jako religia uświadomionego, znającego swój cel proletaryatu, pozostałaby chyba pusta nazwa; a o etykietalnych formach bez treści, chociażby one były bardzo starożytne i poważne, ten proletaryat nie chce dzisiaj wcale słyszeć"...

(Dokończenie nastąpi).



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z ruchu wyborczego.

Zwołane przez pp. Romanowicza i Rutowskiego zgromadzenie wyborców stronnictwa narodowo-demokratycznego, odbyło się w poniedziałek w sali kasyna miejskiego we Lwowie, a oprócz członków komitetu demokratycznego, przybyli nań ludowcy i socyaliści w liczbie poważnej. Pp. Romanowicz i Rutowski omawiali swój program, oświadczając się za solidarnością Koła polskiego, gdy natomiast mówcy socyalistyczni byli stanowczo za zerwaniem z Kołem. Do uchwały pod tym względem nie przyszło, z powodu spóźnionej pory. Natomiast wyrażono oburzenie i wzgardę Radzie miasta Lwowa za to, iż postanowiła nie udzielać sali ratuszowej na zgromadzenia wyborcze.

To wotum nieufności rozdrażniło większość radnych do tego stopnia, iż na posiedzeniu czwartkowem przedłożyli pisemny, 52 nazwiskami opatrzony wniosek, iżby wyrazić oburzenie p. J. K. Janowskiemu, członkowi Rady miejskiej, a który przewodniczył owemu zgromadzeniu i nie ujął się za powagą reprezentacyi miasta. P. Janowski z tego powodu złożył mandat radnego, a to samo uczynił p. Romanowicz. Zajście to bardziej jeszcze zaostrzyło nieprzyjaźń pomiędzy mieszczaństwem lwowskiem a obozem pp. Romanowicza i Rutowskiego.

Równocześnie odbyło się zgromadzenie narodowo demokratyczne w Krakowie, również przeważnie przez socyalistów obesłane. Uchwalono tam popierać tylko takich kandydatów, którzy zobowiążą się nie wstępować do Koła polskiego.

Pewną niespodziankę sprawia rozdwojenie pomiędzy lwowskimi socyalistami. Przeciw kandydaturze p. Hudeca, występuje p. Ernest Breiter, również, jak tamten, kandydat socyalistyczny. Walka toczy się, jak w tym obozie zawsze — na ulicy. A więc we środę wieczorem przeciwnicy p. Breitera, w liczbie około 400, powybijali mu szyby w jego mieszkaniu, gdzie się mieści redakcya „Monitora" przy ul. Kopernika i urządzili mu kocią muzykę. To samo powtórzyło się potem na Chorążczyźnie, przed administracyą „Monitora", wreszcie tłum demonstracyjnie udał się na ulicę Sykstuską l. 50, gdzie mieszkają rodzice p. Breitera i gdzie jest drugie, właściwe jego też mieszkanie. Tu zebrało się też wiele osób tylko ciekawych, a nie należących do demonstracyi. Nagle ktoś z okna domu p. Breitera wystrzelił z rewolweru do publiczności. Powstało niesłychane wzburzenie, wezwano policyę, która jednakże nie umiała wyśledzić strzelającego.

Sejmy krajowe.

Półurzędownie donoszą, że rząd zdecydował się nareszcie na zwołanie Sejmów krajowych. Sesya sejmów będzie oczywiście bardzo krótką, a praca ograniczy się uchwaleniem budżetów, względnie prowizoryów na rok następny. Sejmy zbiorą się pomiędzy 15 a 18 grudnia.

Z Azyi.

A więc mylnemi były doniesienia, jakoby rozpoczęto już układy z Chinami o pokój. Pokazuje się, iż rząd chiński nie ustaje w usiłowaniach, aby przewlec rozpoczęcie pertraktacyj pokojowych. Liczne pisma, wystosowane w ostatnich czasach przez cesarza chińskiego do różnych władców europejskich i azyatyckich, tudzież do prezydenta Stanów Zjednoczonych, wzywające ich pomocy i wsparcia, celem usunięcia konfliktu, który w ostatnich czasach wybuchł między „światem cywilizowanym", a „państwem Niebieskiem", są próbami, przedsięwziętemi po to, aby sprowadzić niezgodę w koncercie mocarstw. Te wszystkie pisma straciły już nawet na znaczeniu dzięki temu, że niema dnia niemal, aby się nie rozeszła wiadomość o jakimś nowym manifeście lub dekrecie cesarskim. Przy tem zastanawia przebiegłość Li-Hung-Czanga. I tak n. p. ten chiński Talleyrand wystosował w ostatnich czasach do rządu francuskiego depeszę z prośbą, aby ten ostatni z powodu choroby ambasadora Pichona, upełnomocnił w jego miejsce kogoś innego do prowadzenia rokowań, kiedy Pichon w telegramie, wysłanym w tym samym dniu do ministra spraw zagranicznych, nic nie wspomina o swojej chorobie. Widać stąd, że Pichon jest Li-Hung-Czangowi nie na rękę.

Na granicy północno zachodniej Indyj przedgangesowych, grozi Anglikom bunt Wazyrów, bardzo wojowniczego szczepu, spokrewnionego z plemionami Afrydów, Mohmandów, Oraksajów i Swatów, których rokosz w latach 1897 i 1898 ciężko dał się Anglikom we znaki. Wówczas Wazyrowie zachowali się biernie, lecz teraz budzi się w nich ochota wojenna, o czem świadczą łupieskie ich wyprawy daleko w dzierżawy angielskie. Są oni dla posiadłości Anglii w Indyach azyatyckich tem, czem niegdyś byli dla Polski Tatarzy krymscy, których zagony pustoszyły Ukrainę, Podole i Wołyń. Wazyrowie mają wyborne oparcie w niedostępnych górach swego kraju i Afganistanie. Przed dwoma i trzema laty pokrewne im szczepy biły armię angielską i zaniechały walki dopiero skutkiem braku soli, której dowóz z Indyj ustał. Teraz trudno będzie Anglii wysłać na buntowników większej siły, ponieważ pułki indyjskie są bądź w Transwaalu i Oranii, bądź w Chinach.

Anarchiści.

Oświadczenie Bresciego, iż dokonany przezeń zamach na króla Humberta jest tylko jednym z całego szeregu królobójstw, postanowionych przez anarchistów, znalazł obecnie potwierdzenie aż w dwóch wypadkach, jakie miały miejsce w czasie ostatnim.

Nadeszła więc przedewszystkiem wiadomość z Odessy — bardzo zresztą spóźniona — że przed miesiącem udaremniono zamach, przygotowany na życie cara. Przygotowania odkryto przypadkowo. Mianowicie na drodze z Łozowy do Sewastopola, którędy car z carową mieli jechać do Liwadyi, tor kolejowy przebiega kilka tunelów, z których jeden na kilometr długości. Otóż na 14 dni przed przyjazdem carstwa spostrzeżono, że jakiś młody człowiek codziennie robił coś przy rurze, znajdującej się w wejściu do tunelu, a służącej za zbiornik wilgoci. Początkowo nie zwracano na niego uwagi, sądząc, że to rybak łowi ryby w pobliskiej rzeczułce. Aż pewnego dnia nadszedł pułkownik żandarmeryi, na widok którego młody człowiek począł uciekać. Schwytano go i stwierdzono, że nazywa się K., jest studentem uniwersytetu w Moskwie, a synem kapitana okrętowego floty czarnomorskiej. Pokazało się, że rura była napełniona materyałem wybuchowym w takiej ilości, że wybuch był zdolnym wysadzić w powietrze nietylko pociąg, ale i cały tunel.

Jeszcze nie przebrzmiały echa tej wiadomości, gdy z Budapesztu telegraf przyniósł we środę nową, niemniej groźną wiadomość, a mianowicie o udaremnionym zamachu na życie cesarza Franciszka Józefa. W tym dniu cesarz przybył do Pesztu i zamieszkał w zamku budzińskim, skąd miał pojechać dla obejrzenia wystawy rogów jelenich. Ktoś zwrócił uwagę policyi, że koło zamku kręci się jakiś człowiek podejrzany. Kiedy policyanci zbliżali się do niego, nieznajomy począł uciekać, a gdy go schwytano, wykrzyknął „Evviva Bresci!"

Sprowadzony na policyę, zeznał, że nazywa się Dolp, jest Włochem i pochodzi z Dalmacyi. Znaleziono przy nim rewolwer i sztylet. O wypadku zawiadomiono cesarza, który nie pojechał już na wystawę, a przedwczoraj powrócił do Wiednia.



ZADUSZKI.



Królowa nocy oblekła ziemię swym czarnym płaszczem, wszystkie zakątki otuliła cie mnością; księżyc zagasł i gwiazdy przybladły... I ożywiły się wsze groby cmentarne, i wszystkie duchy wypłynęły, otulone szatą czarnej nocy. Płyną na świat do ukochanych, których niegdyś opuścić musiały, a którzy pamięć ich święcą i obchodzą...

Wszędzie płacz cichy, wszędzie łzy, smutek wszędzie, wspomnienia i tęsknota... Na cmentarzysku żywych cicho i ciemno; na świecie zmarłych ruch poważny: świateł tam pełno i pełno życia niezwykłego.

Zda się, że nagle ożyły wszystkie te krzyże kamienne, że płaczące brzozy i wierzby i smętne świerki szepcą dziwne rzeczy, rozpowiadają wspomnienia przeszłości, o szczęściu minionem bezpowrotnie, o radości na wieki skończonej, o nadziejach rozprysłych, zamarłych, zastygłych, zamkniętych w grobach wraz z tymi, co w trumnach legli na wieczny odpoczynek.

Umarłych dziś święto, wieczór zaduszny. Więc spieszą żywi z modlitwą, ze światłem, ze wspomnieniem na groby, w których złożono kości i prochy ukochane.

*

Widzicie, hen, postać nad kolumną z białego marmuru, strzaskaną u szczytu? Unosi się tam, jakby płynęła między cichemi brzozami, co smutnie zwieszają ku ziemi swe długie, płaczące warkocze. U stóp kolumny, na kamieniu, mchem porosłym, siedzi mężczyzna w żałobie; wzniósł oczy ku marmurowemu posągowi i patrzy w rysy ukochane...

Ujrzał ją oczyma duszy, cudowną, przepiękną, uroczą, taką, jaką pokochał w maju swego życia; tak samo obsypaną różami, jak on ją obsypywał niemi owej wiosny, gdy świat cały mówił do nich słowami miłości.

Na świecie, przed laty, kochało się tych dwoje. On miał być rzeźbiarzem; ludzie rokowali mu świetną przyszłość, a przyjaciele upatrywali w nim talent niepospolity i przyszłą chlubę ojczyzny. Los chciał inaczej...

Aby ją posiąść, musiał obrać inny zawód, bo czyż artyzm da u nas chleb rodzinie? Dla niej poświęcił rojenia młodzieńcze i nadzieję sławy i przyszłości. Wyrzekł się sztuki, roztrzaskał swe rzeźby, wymordował własną ręką dzieci swego ducha. Zgwałcił siebie, zwalczał tysiące przeszkód, stał się czeladnikiem zjadaczów powszedniego chleba... Wreszcie zdobył chleb po latach, a wtedy — ona umarła.

Dawno to już temu... Dzisiaj niedoszły artysta posiwiał... Rok rocznie jednak wieczorem w święto zmarłych spieszy na grób cmentarny z bijącem sercem, jak kochanek do kochanki, jak ongi przez lat tyle, gdy był jej narzeczonym, a ona z rozkoszną niecierpliwością oczekiwała jego przybycia.

W nocy zadusznej, gdy duchom wolno opuszczać swe przybytki, przypływa i ona na jasnym obłoku, pomiędzy liście brzóz i wierzb gałęzie...

Strzaskana kolumna na grobie kochanki — to symbol jego życia.

*

Opodal obelisk marmurowy, potężny, majestatyczny, jak śmierć-królowa, której potędze nieugiętej ulega wszystko. Tu w niemej rozpaczy klęczy dziewica; twarz osłonięta czarnym welonem; próżnobyś patrzał, czy łzy świecą w oczach.

Bogatą była niegdyś i świat cały otaczał ją swemi względami. Szczęśliwym czuł się ten, kogo obdarzyła uśmiechem... Ojciec uchodził za majętnego i wysokie w świecie zajmował stanowisko. Ją jednę, jedynaczkę, miał na tej ziemi i była mu gwiazdą, słońcem, kochanką i światem. I ona kochała go całem sercem, jedynie tylko jego i nikogo więcej. Miała lat 16, gdy ojciec nagle umarł. Ogarnęła ją rozpacz straszna, szalona i omal nie pozbawiła zmysłów. Z nim skończyło się dla niej wszystko.

Majątku nie zostawił; świetne stanowisko zniknęło. Legł w cichym, samotnym grobie, ten jej najdroższy, ubóstwiany ojciec... Och, oddałaby wszystkie świetności minionego życia za jedno spojrzenie ojcowskie, za jeden dźwięk jego najdroższego głosu! Za grosz ostatni postawiła wspaniały pomnik na grobie, iżby odpowiedział wysokiemu ojca stanowisku, jakie zajmował w świecie, a sama pracowała ciężko, zapomniana przez dawnych przyjaciół... Lata płynęły...

Teraz schyliła czoło nad zimną, wilgotną ziemią. I zdało się jej, że ręce ojcowskie, żółte i wyschłe, spoczęły na jej głowie tak, jak w godzinie skonu. I zdało się jej, że słyszy szept ukochanego: „Błogosławię ci, dziecko moje i oddaję Bogu!“...

Bogu! Tak, boć ona dzisiaj, samotna i opuszczona i zapomniana, niepotrzebna na świecie na nic i nikomu.

Ha, gdybyż tylko niepotrzebni umierali!

*

Oto, na grobie sąsiednim ruch większy. Drobne snują się tam postaci...

Jasio, Józio, Mania i Wandzia krzątają się z dziecięcą żywością około grobu mamy, na którym płoną światełka. Wśród nich, milcząc, stoi wyniosła postać męska i wodzi po główkach drobnej dziatwy łzawemi oczyma.

Opuściła go towarzyszka życia, zostawiła samego, osierociła drogie, drobne swe dzieci. — Opuściła go ona, tak potrzebna, tak niezbędna na świecie! I drobiazg rośnie sieroco, bez ciepła macierzyńskiej dłoni, bez matczynego serca, rośnie, jak roślinki bez ciepła słonecznego...

Światła w porządku. Mania zdejmuje chłopczykom kapelusiki z główek... Mania najstarsza, ma już lat dziesięć i rygor między dziatwą prowadzi. Teraz szykuje ich do rzędu. Uklękli, rączki złożyli i w głos za Manią mówią paciorek.

— ...Wieczne odpoczywanie racz mamusi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków!

— Amen! — dodał ojciec, ukląkł obok dzieci i pocichu powtarzał modlitwę...

Przed trzema tygodniami sąsiadka zwróciła jego uwagę, że rok żałoby już minął, że trzeba koniecznie, aby się ożenił — dla dzieci.

Wysłuchał jej spokojnie i nic nie odrzekł. Sąsiadka miała racyę: wszyscy wdowcy żenią się — „dla dzieci“...

*

Imponująco wygląda ogromny, marmurowy grobowiec pośrodku cmentarza. Lampek setki, wieńców bez liku. W żelaznych miednicach goreje smoła i bucha płomieniami wysoko. Barwne festony zdobią gzems pomnika.

Dokoła kręci się służba w liberyi, błyszczą guziki herbowe...

Państwo tylko nie mieli czasu przybyć w zaduszki na grób rodziców. Pan bawił w kasynie, a pani miała gości na herbacie. Poniosła jednak niemałą ofiarę i powtarzała to każdemu gościowi:

— Fatalną mam dziś usługę. Musiałam posłać Jacentego, ażeby grób oświetlił; Mikołaj tego nie potrafi... Ha, cóż robić? Ma się obowiązki nawet wobec mogił!

*

Na świeżej, czarnej mogile siedzi chłopczyna, odziany licho, skurczony, zziębnięty. Wygrzebał dołek w surowej, wilgotnej ziemi, zatknął świeczkę, osłania ją czapką od wiatru i zawodzi przyciszonym głosem: — Tatusiu, mamo, czemuście mnie opuścili! Czemu zostawiliście na świecie samego sierotą?...

A wiatr rozwiewa mu włosy i łzy z oczu wysusza, jakby je zabierał z sobą tam, gdzieś wysoko ponad drzew gałęzie, ponad chmury, ponad gwiazdy pobladłe...

*

Ale opodal, pod dębowym krzyżem, którego jedno ramię wskazuje na wschód daleki, gromadzi się coraz liczniejsza rzesza ludu. W tłumie nastrój uroczysty, poważny; kilku młodych rozdziela smolne pochodnie.

Czyj to grobowiec, ku któremu spieszą młodzi i starzy, i ubodzy, i bogaci? Jakiego mocarza ów pomnik, przy którym gromadzą się wszystkie stany narodu?

Z tłumu znak dano, pochodnie rozgorzały tysiącem blasków, a w ciszy nocnej rozległa się pieśń:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do Ciebie, Panie, bije ten głos“...

Słuchają ozłocone światłem drzewa, i słuchają grobowce, i słuchają krzyże wszystkich mogił cmentarnych... Aż szum nastaje w powietrzu i od łuny na niebie idzie ku ziemi, coraz silniejszy, jakby skrzydeł orlich trzepotanie... To dokoła ramion dębowego krzyża gromadzą się duchów zastępy, ale nie tych, które zwabiono światełkiem lampki, rozpaczą kochanka, jękiem córki, modlitwą niemowląt, łzami sieroty. O, to inne duchy! One płyną od dalekiego wschodu, gdzie zima wieczna, a kości zmarłych w kajdanach, zamieć roznosi śnieżna. One wstają ze samotnych mogił po polach i lasach, z grobów idą niepoświęcanych, cichych, i opuszczonych, i nieznanych, — z grobów, rozrzuconych po świecie całym od morza do morza i za morzem... A są śród nich biskupi we fioletach, i senatorowie, i wodzowie, i pyszne wojsko legionów, i w lichej odzieży wojownicy, i karmazyny, i kosyniery w siermięgach, niewiasty i niemowlęta, wyznawcy i męczennicy podlascy i bezimiennych tylu, tylu!...

Płyną, jak błogosławieństwo przeszłości dla pokolenia żyjących...

A cmentarz tonie w światłach i drży pieśnią, co błaga — o zmartwychwstanie...



Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

W Berlinie Danielewski bawił się wybornie; niby szukał mieszkania i przygotowywał przeprowadzkę, w istocie zaś uganiał się za przyjemnostkami. W liście do żony, przebywającej jeszcze w Załężu, pisał z niezrównaną szczerością: „Spotkałem wczoraj na Friedrichstrasse Modlińskich z Siekierzyńskiej Woli. (Ona przyjechała robić zakupy na wyprawę dla siostry). Powitali mnie bardzo mile. — Powiedz Włodziowi, że z dyrektorem gimnazyum już mówiłem“...

Włodzio — był to syn Danielewskich, uczeń prymy gimnazyum siekierzyńskiego. Chłopak już był pod wąsem, rok miał do ukończenia gimnazyum, ale był bardzo bezkrytyczny. Po sprzedaży Załęża, idąc za przykładem ojczulka, który wyjechał do Berlina powinien był Włodek zniknąć z oczu swoim kolegom i znajomym, a przynajmniej przeczekać, aż przejdą pierwsze fale rozkołysanej opinii publicznej. Ale Włodek nie odczuwał wcale wstydu swego położenia, owszem cieszył się, że się wyprowadza z rodzicami do Berlina i rad się tą wieścią jaknajprędzej pochwalił przed kolegami.

Lecz wybrał się nie w porę. Ze strony młodzieży miał doznać zarówno syn, jak i ojciec, niespodziewanej odprawy, którejby nawet najstarszy w Księstwie zamieszkały obywatel nie mógł przewidzieć.

W gimnazyum siekierzyńskiem było w czterech wyższych klasach ogółem około pięćdziesięciu uczniów. Z wyjątkiem może piętnastu „ospałych“, „obojętnych“ i „niepewnych“ wszyscy uczniowie Polacy chętnie się łączyli ze sobą, mając na celu wspólne czytanie i omawianie książek polskich, oraz dostarczanie sobie nawzajem nowości literackich. Wywiązała się z tych ważnych stosunków z biegiem czasu pewna solidarność w postępowaniu Polaków wobec Niemców. Oprócz referatów z książek, oraz dyskusyi, stąd się wywiązującej, na zebraniach porozumiewano się, co do solidarnego niekłaniania się jakiemu znienawidzonemu nauczycielowi Niemcowi, uchwalano z wspólnej kasy zasiłek dla niezamożnych kolegów, prowadzono nawet dyskusye o bieżących sprawach.

Zarówno fakt istnienia tej solidarności, jak i rozwijające się na jej gruncie dyskusye nie były znane ani władzy szkolnej, ani obywatelom Siekierzyna. Jeden jedyny wiedział o tem, ale przez delikatność mówić nie chciał, — piekarz Rudzki, człowiek niezmiernie poczciwy, zamieszkały dopiero od lat paru w Siekierzynie. Mieszkał on dawniej w Lesznie i niezgorzej mu się wiodło, bo był to człowiek pracowity i w swoim fachu zdolny. Był w Lesznie jednym z pierwszych, którzy zajmowali się propagowaniem gazet polskich, a z tego powodu niejednokrotnie mu dokuczała policya. Gdy wreszcie hakatyści rozwinęli agitacyę w wielkim stylu, wystarczyło jednego wystąpienia publicznego ze strony Rudzkiego, aby wywołać u hakatystów przeciw niemu agitacyę. Wydano hasło bojkotowania jego piekarni, zasilono funduszami jego konkurenta Niemca, odmawiano co lepszych czeladników. Piekarnia zaczęła dawać coraz mniej dochodu, a gdy wreszcie zachorowała i po paromiesięcznej chorobie umarła Rudzkiemu żona, poczciwy piekarz był zrujnowany. Spieniężywszy urządzenie sklepu i gospodarstwo, Rudzki opuścił niegościnne Leszno, a towarzyszył mu jego syn Stefek, wtedy zaledwie dwunastoletni uczeń szkoły miejskiej, chłopak niezmiernie rozgarnięty i myślący.



POMNIK ARTURA GROTTGERA
na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Przybyli do Siekierzyna. Tu się Rudzkiemu lepiej powodziło. Było wprawdzie zrazu bardzo ciężko, ale zdołał piekarnię rozwinąć. Niemałą przyczyną tego powodzenia była ta okoliczność, że jego Stefek, marząc o tem, aby zostać nauczycielem, szukał stosunków z gimnazyastami, a zapoznawszy się z kilku członkami „łączności“, opowiedział im historyę pobytu swego ojca w Lesznie. Opowiedział, że przybyli w takiej biedzie, iż gdyby poczciwy stolarz, który robił stoły i szafy dla jego ojca, nie był się zdecydował udzielić kredytu, Stefek poszedłby do szewca na praktykę, a jego ojciec, jako podmajstrzy piekarski do swego konkurenta. Wzruszyła ta prosta spowiedź serca młodzieńcze i wkrótce sympatye swe dla Stefka siekierzyńscy gimnazyaści zadokumentowali w ten sposób, że mu z wspólnych funduszów zakupili na początku roku szkolnego książki i przybory szkolne. Zrobiono to w sposób dyskretny i delikatny tak, że stary Rudzki nie mógł odmówić przyjęcia tego daru synowi. Zaprosił gimnazyastów tylko na świeże bułki z masłem i parę godzin z nimi rozmawiał o przeczytanych, artykułach „Posłańca Wielkopolskiego“, „Wywrotu“ i „Oznajmiciela“.

Ten i ów z gimnazyastów zaczął częściej przychodzić na takie pogawędki, aż wreszcie pewnego razu, gdy „łączność“ miała pewne peszlaki, że władza gimnazyalna chce wykryć istnienie polskiej biblioteczki, siedmiu gimnazyastów w nocy, nie porozumiewając się nawet poprzednio z Rudzkim, przeniosło biblioteczkę i oddało opiece jego i Stefka. Stefek był zachwycony, że będzie miał tyle książek tak blisko siebie, a stary Rudzki nic nie mówił, ale tylko porozumiewająco mrugał okiem, zapewniając, że książki są u niego bezpieczne.

W rezultacie u Rudzkiego mieli gimnazyaści swoją czytelnię, salę obrad i rodzaj klubu. Wchodziło się frontowem wejściem przez piekarnię, a przez małe drzwiczki za kontuarem przechodziło się do mieszkania. Tak mogli się uczniowie zbierać niepostrzeżenie. Pakiet z bułkami w ręku — kilka książek pod zapiętym szczelnie surdutem — tak wychodzili ze se swej kryjówki, bezpieczni i pewni.

Rudzki i jego syn często przysłuchiwali się rozmowom i dyskusyom, nierzadko sami zabierając głos w rozmaitych sprawach. Stary Rudzki zwrócił młodzieży uwagę na to, jak łatwo jej jest popierać polskich przemysłowców i kupców i że jej obowiązkiem jest, swem poparciem zapewnić dobry rozwój niejednemu kulejącemu przedsiębiorstwu. Pierwszym wynikiem tej konferencyi było to, że wszyscy gimnazyaści w domach swych wychwalali pod niebiosa pieczywo Rudzkiego i nie chcieli jadać innego chleba, innych bułek, jak od niego.

„Bułki Rudzkiego — mówił jeden z niższych prymanerów do swej kuzynki, — to jakbym się zaciągnął papierosem z najlepszego tytoniu tureckiego“.

Kuzynka mówiła matce, matka innym matkom, które od swych synów, lub córek słyszały same pochwały dla pieczywa

Rudzkiego — i w krótkim czasie renoma piekarni była ustalona.

Rudzki po paru latach zaczął wracać do dawnej zamożności, a „swoich gimnazyastów“ kochał niezmiernie. Pokój ich za ladą sklepową przybierał coraz bardziej cechę klubową; Rudzki zaabonował wszystkie pisma poznańskie: a więc „Monitora poznańskiego“, „Kursora poznańskiego“, „Posłańca Wielkopolskiego“, „Oznajmiciela“ i „Wywrot“. Gazety były porządnie ponapinane na drążki, a poznańska „Praca“ oraz lwowska „Teka“ miały nawet swe specyalne teczki z czarnej skóry, ofiarowane przez jednego z gimnazyastów, którego ojciec był introligatorem. „Dziennik Inowrocławski“, jako prusofilski, miał osobne pomieszczenie w teczce, na której widniała etykieta zdjęta z jakiejś flaszki od lekarstwa: krzyżyk, trupia główka i napis: „ostrożnie — trucizna“.

Z krakowskich pism — przychodziła „Nowa Reforma“, której, od czasu skasowania debitu w Niemczech za obrazę cesarza, wyznaczono honorowe miejsce.

Przyjaźni gimnazyalistów z Rudzkim nie zamącała żadna chmurka; on im dawał możność rozwijania „łączności“, oni zaś niewidzialnemi nićmi wpływy jego roztaczali na cały Siekierzyn; i Stefek Rudzki miał udział w tych stosunkach. Myszkował on pomiędzy dziećmi ze szkoły miejskiej i za dostarczone z rozmaitych źródeł pieniądze zaopatrywał je w elementarze polskie, katechizmy, kalendarze i t. d.

Sprytny chłopak, wyrobił sobie tak rozgałęzione stosunki, że przez jego ręce najlepiej i najpewniej rozchodziły się elementarze nawet na wsi okoliczne tak, iż na pewnem posiedzeniu pewnego komitetu wyrażono z tego powodu najgłębszą podziękę panu Danielewskiemu, ówczesnemu właścicielowi Załęża, że z prawdziwie obywatelską ofiarnością i wrodzoną sobie skromnością popchnął w swej okolicy sprawę oświaty ludowej i w elementarze tyle a tyle rodzin zaopatrzył. Danielewski na to odrzekł, że o zasługach swych nie wie, a zrobił tylko to, co uważał za swój obowiązek, — w istocie zaś nie miał pojęcia, skąd jego nazwisko wiążą z elementarzami, — ale pochwałę z wrodzoną skromnością przyjął.

Tak stały rzeczy, gdy — krótko przed sprzedażą Załęża na kolonizacyę — ojciec jednego ze starszych gimnazyastów, Stanisław Bieńkowski, właściciel Księżopola odebrał sobie życie z rozpaczy, nie mogąc uratować majątku rodzinnego przed ruiną i pochłonięciem przez kolonizacyę.

Był to czyn rozpaczy, który poruszył do głębi wszystkie serca. Pisano o tem dużo w gazetach, a ktoś podobno na ten temat napisał aż dramat, o którym z kolei dużo pisano w gazetach. Ale mimo to wszystko Księżopole nie zostało uratowane dla rodziny samobójcy. Pani Bieńkowska z kilkunastoletnią córką i maleńkim, uratowanym z rozbicia kapitalikiem przeniosła się do swej zamężnej siostry w inne strony, a najstarszy syn, noszący imię ojca, Stanisław, pozostać miał w Siekierzynie aż do ukończenia przynajmniej roku szkolnego jeśli nie zdania egzaminu abituryenckiego. Lecz gdy nadeszła pora płacenia kwartalnej raty za drogą stancyę, gdzie mieszkał Staś Bieńkowski, okazało się, że sumka, jaką mogła mu dać matka, wystarczała zaledwie na pokrycie opłaty szkolnej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Anna Neumanowa.

ZIEMIA — GARŚĆ PROCHU.

Czemże ta ziemia? — Garścią prochu szarą —
Straszna ją burza na szmaty rozdziera,
Każdy jej strumień krwią i łzami wzbiera,
Bo powódź straszną zalewa nas karą.

Lecz jest w tym prochu siew, co nie zamiera,
Jest ziarno życia, co rzucone z wiarą
W ciszy kiełkuje, praca ducha szczera
Żywi je trudów codziennych ofiarą.

Strzeżcież więc ziemi przed powodzi siłą,
A co w niej ziarnem, to w kłos się rozwinie,
A co w niej prochem, to w kurzawie zginie,

A co łzą padło, to perłą się wzbiło
I zejdzie tęczą nad siewców mogiłą
W cichej spokoju i świtu godzinie!



Władysław Kozicki

W pomroce prometejskich cieni.

(Z powodu „LUDZI BEZDOMNYCH“ Żeromskiego.)

(Ciąg dalszy).

Wszystko to razem sprawia, że „Bezdomni ludzie“ są tylko występującą na tle społecznej nędzy, tragedyą cierpiących dusz ludzkich, nie tych jednak, które się uważają za odrębny, samotny, absolut przelotnie w przemijającą formę bytu wciśnięty i wgłębiony, wyłącznie w łowienie niejasnych przeczuć swej metafizycznej, wiekuiście niezmiennej treści — ale dusz zachowujących poczucie łączności z otoczeniem wśród którego istnieją i nie zrywających węzłów ze środowiskiem, z którego wyszły.

Mimo to, że nie mamy w tym wypadku do czynienia z powieścią społeczną, a wyrażając się ściślej, z powieścią — poruszającą kwestyę socyalną, słyszałem mówiących, że po przeczytaniu jej można się stać społecznikiem. Pochodzi to stąd, że z tych kart bije wielka, potężna litość autora, głębokie, serdeczne współczucie dla wszystkich, którzy poprzez łzy — słońce widzą mętne i szare. I ta właśnie żywiołowa rozlewność uczucia otwiera oczy na cierpienia bliźnich tym, którzy dawniej, jakby łuskami mając wzrok przyćmiony, szli obok wyzysku i bezprawia i nie oburzali się, obok głodu i wycieńczenia pracą i odchodzili bez wzruszenia. To objaw zupełnie podobny do tego, który spostrzega Żeromski, gdy opowiada o wrażeniu, jakie wywiera „Rybak“ Luois de Chavannesa w galeryi luksemburskiej: „Skupiały się tam tłumy wielkich dam, strojnych i pachnących dziewic, mężczyzn, w miękie szaty odzianych. I tłum ten wzdychał. Łzy ciche płynęły z oczu tych, którzy tam przyszli obarczeni łupami. Posłuszni rozkazowi nieśmiertelnej sztuki, przez chwilę czuli, jak żyją i co stwarzają na ziemi“.

Matuszewski, nazywając „Bezdomnych ludzi“ tragedyą litości, uwydatnił najistotniejszą i najbardziej ujmującą cechę tej powieści.

Jedna z tych dusz cierpiących, jednym z „bezdomnych“, który na pierwszy plan występuje, jest doktor Tomasz Judym.

Mylnie uważano go za bohatera, bo jakiejś jednej postaci, któraby była punktem środkowym dla rozwoju akcyi — w powieści tej niema. — Ktoby z mego, na patetyczne tony nastrojonego wstępu sądził, że obaczy teraz co najmniej jakiegoś Tytana w surducie, zawiódłby się srodze. Wrażenie prometejskiego tchnienia zrobiła, na mnie tylko ta, wzruszająca powieść Żeromskiego, o której mówiłem przed chwilą. Ale Judym — to człowiek słaby, natura nierówna, która po nienaturalnych wybuchach gwałtownej energii, doświadcza chwili wahania, upadku i jakiegoś, z głębi duszy idącego lęku. Na działacza społecznego nie stworzony wcale ten niepraktyczny idealista, który mierzy siłę na zamiary i nie umie konsekwentnie i wytrwale dążyć do wytkniętego celu, — owszem sam sobie stwarza przeszkody, ubezwładniając się i pozbawiając środków i sił do skutecznej pracy. Czasami zupełnie wygląda na człowieka, którego nazywamy „narwanym". A takim jest nie wbrew intencyom, ale owszem ściśle według woli autora, który to jego „narwanie" bardzo wyraźnie podkreśla, np. w komicznej awanturze ze swawolnym Dyziem. Ale jest jedna rzecz w Judymie, która bardzo imponuje: ten zupełny brak egoizmu, to całkowite wyrzeczenie się osobistego szczęścia, ażeby pracować dla idei, a zdaje mu się, że wtedy dopiero prawdziwie dla niej pracować będzie, kiedy się sam unieszczęśliwi. Więc, chociaż sprawie społecznej nie możemy życzyć takich, jak on, szermierzy, to jednak szacunek głęboki mieć dla niego musimy.

Judym wytknął sobie za cel życia pracę dla dobra upośledzonych i uciśnionych, przedewszystkiem nie z potrzeby serca, które czuje krzywdę i uznaje niesprawiedliwość, ale dlatego, że on sam to wszystko w młodości przebył, sam wszystko przecierpiał. Nie jest to zatem jeden z tych nasyconych, wyspanych i dobrze odzianych, który uniesiony wysokiem uczuciem etycznem, ustępuje ze swojego stanu posiadania, ale niejako sam „motłoch", sama „hołota", która usiłuje się podnieść z otchłani nędzy. To właśnie jest powodem tych namiętnych wybuchów gniewu, wśród jakich Judym od czasu rzuca się na przemoc zła, tej wściekłej niecierpliwości, z jaką oczekuje urzeczywistnienia swych pragnień. Ja jestem z motłochu — mówi do Joasi przed rozstaniem — z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekiem przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko. Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich — to idyoci". — Ja jestem za to odpowiedzialny, odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie krzyczy: nie pozwalam! Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to któż to uczyni?"

To pochodzenie z „suteren", które, wszczepiając w Judyma przekonanie o ciążącym na nim obowiązku spłacenia jakiegoś długu społecznego — jest dlań źródłem niepohamowanej energii — w innym kierunku objawia szkodliwe skutki. Oto, wyniósł z tych nizin, jak sam powiada, „przyschłe nasienie dorobkiewicza", a stąd sam sobie niedowierza i obawia się, że, gdyby stworzył własną rodzinę — ten posiew kiełkowaćby zaczął. I jest dowodem wielkiego heroizmu moralnego z jego strony, że dla zgniecenia tego ziarna egoizmu, a dla uratowania szczytnych porywów ducha ku wyżynom idei — wyrzeka się w ofiarnem poświęceniu tego, co było w jego życiu, jakby śpiewem słowiczym, w srebrną noc majową, wśród obsypanych białem kwieciem, pachnących drzew czereśni. Nadto pozostało Judymowi nazawsze plebejuszowskie uszanowanie dla wyższych urodzeniem, mimowolne rozkoszowanie się wykwintnemi damami z arystokracyi, które mu się wydają „istotami cielesnemi wprawdzie, ale przecie tak podobnemi do cudnych kwiatów, zamkniętych w czarownym ogrodzie". To też „nieraz zazdrościł lokajom ich prawa przypatrywania się tym nadziemskim zjawiskom, o twarzach tak subtelnych nieraz, tak wydelikaconych, tak nie do uwierzenia pięknych, że widok ich był pieszczotą dla wzroku i nerwów". Nigdy też nie zdołał stłumić w sobie tego przykrego poczucia, że jest intruzem, że wdarł się bezprawnie w nieswoje towarzystwo; często pod wpływem byle jakiej trudności „czuł się, jakby zdegradowanym i wogóle łatwo ulegał złudzeniu, że w samej rzeczy niema prawa do mnóstwa przywilejów, które są udziałem innych ludzi. — Obecną w nim była pamięć na rzeczy dawne, na pochodzenie i owo, jakby bezprawne wejście do życia stanów wyższych. A wtedy doznawał w głębi serca spodlenia dumy, tchórzostwa rozumnej woli i daremnie usiłował zdławić uczucie nędznej pokory". Ale po takich upadkach przychodziły wielkie chwile podniesienia duszy, kiedy „błogosławił tajemne potęgi świata za owo święte prawo człowieka do pracy i czuł w sobie siłę, czuł władzę spożytkowania jej w wielkiem dziele. Wtedy przyrzekał sobie nie pożałować ramion, nie skąpić potu, aby wiedzieli, jak się wydzięcza ten z „motłochu", kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielą cząsteczki swych praw do czynu".

Judyma poznajemy zaraz na początku powieści, kiedy w Paryżu spotyka panią Niwadzką z wnuczkami i z Joasią Podborską, swoją późniejszą narzeczoną. Zarazem dowiadujemy się o jego pochodzeniu, kiedy bez ogródek i z kłującą satysfakcyą wyznaje starej damie, że jest z Warszawy i z bardzo bylejakich Judymów, bo ojciec jego był lichym szewcem na Ciepłej ulicy, który robił trzewiki w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem po pijanemu robił awantury, gdzie się dało. — Po upływie roku wraca Judym do Warszawy", z młodością, kipiącą w żyłach". „Czuł w sobie uśpioną siłę, jak człowiek, który jest u podnóża wielkiej góry, stawia krok pierwszy, ażeby wstąpić na jej szczyt daleki — i wie, że wejdzie". Zanim jednak wyładuje zapas energii, udaje się z odwiedzinami do swoich krewnych na Ciepłej ulicy, do brata Wiktora, jego żony z dwojgiem ich dzieci i starej ciotki Pelagii. Rozmowa z bratem odsłania nam dalsze szczegóły młodości doktora. Wykształcenie swe zawdzięczał ciotce, która, według drastycznego określenia Wiktora, była najpierwszą grandą w Warszawie i stąd uzbierała trochę pieniędzy. U niej froterował, czyścił posadzki, mył w kuchni garnki, rądle, nastawiał samowary, czuwał do późna w nocy, aby otwierać drzwi powracającym od ciotki z kart i pijatyki nędznym włóczykijom — ale obok tego wszystkiego uczył się i chodził do gimnazyum w prunelowych, rozklapanych trzewikach swej opiekunki. — Uzyskany po jej śmierci niewielki spadek, pozwolił mu ukończyć medycynę w Paryżu i przebyć pierwsze, ciężkie miesiące praktyki lekarskiej w Warszawie, podczas których nie spotkało go szczęście oglądania w swym gabinecie choćby jednego „kulawego psa, niosącego rubla w zębach", bo nie umiał się schronić pod opiekuńcze skrzydła protekcyi i zraził sobie wszechwładne sfery lekarskie odczytem u bardzo szanownego i czcigodnego, ale znów nie tak, jak Judym, marzycielskiego Dr. Czernisza. W prelekcyi tej rozwinął bowiem swe idealistyczne poglądy na obowiązki lekarza, który powinien — podług niego — ująć w ręce ster życia i hygieny, wznosić według prawd nieomylnej nauki mur, odgradzający życie od śmierci, — a nie doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku — „Umiemy — mówił — pilnie tępić mikroby w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkiwania po chłopskich chatach, dzieci pospołu z prosiętami". — Rozumie się, że nie umiano ocenić i uszanować wielkiej, choć niepraktycznej myśli, jaka tkwiła w tych zapatrywaniach — ale wyśmiano ją i wyszydzono. Judym, widząc, że nie ma co robić w Warszawie, przyjął ofiarowaną mu przez Dra Węglichowskiego posadę lekarza przy zakładzie kąpielowym w Cisach. Tu dopiero rozpoczyna pracę na wielką skalę. Przy pomocy praktycznego idealisty Leszczykowskiego, czyli, jak go nazywali Anglicy, M. Lesa, który mu otwiera swoje „ciche kasy", przeznaczone na popieranie szlachetnych celów — wskrzesza podupadły szpitalik, zaopatruje go własnym sprytem we wszystkie potrzebne narzędzia i sprzęty, leczy, robi operacye, wierci, przekłuwa, ekstyrpuje, urzyna, przylepia, słowem staje się w krótkim czasie duszą całego zakładu i aniołem opiekuńczym okolicznych chłopów i cisowskich nędzarzy. Jedna rzecz tylko zatruwa mu życie. Oto były w Cisach stawy, które wydobywającą się z nich wilgocią zatruwały całą okolicę, a skutkiem rozmaitych arcy-misternych urządzeń nieocenionego administratora zakładu, wszechstronnego Krzywosąda-Chobrzańskiego, jeszcze z większym skutkiem szerzyły naokoło malaryę i febrę. Judym pierwszy zwrócił na to uwagę i odtąd zniesienie owych sztucznych zbiorników i kanałów i zneutralizowanie szkodliwego wpływu stawów, stało się jego skrytą namiętnością. Wszystkie jednak zabiegi doktora w tym kierunku, rozbiły się o uprzedzenie i niechęć sfer tak zwanych „miarodajnych", które w swym starczym uporze i przesądzie odpierały plany zarozumiałego w ich oczach młodzieniaszka. Dyrektor Węglichowski, administrator Krzywosąd i plenipotent dóbr p. Niwadzkiej, oburzali się na Judyma, że śmiał widzieć coś złego w ich robocie i z tego powodu myśl, któraby bez opozycyi w czyn wprowadzili, gdyby była wyszła z ich grona, przy partyi wista — odrzucili dlatego tylko, że ją podniósł „młody". Judym musiał więc zaniechać całej sprawy, a płynące stąd niezadowolenie ustąpiło niebawem wobec tego, że zdarzył się w jego życiu wypadek pierwszej wagi; zabłysło mu światło, którego nie znał dotąd: miłość.

(Dokończeuie nastąpi).



k.

CMENTARZ WIEJSKI.

Stopa ma cicho pośród mogił kroczy,
A całe niemi zasiane pobliże:
Wiejski to cmentarz; kędy zwrócę oczy,
Krzyże i krzyże.

Niziutkie, krzywe i nieociosane
Mistrzowską ręką uczonego cieśli;
Prostacze, jak i żale nieudane
Tych, co je wznieśli.

Oko nie dojrzy ciosowych kamieni,
Co tłoczą zmarłych na cmentarzach miasta;
Pod krzyżem jeno, co się mchem zieleni,
Trawa porasta.

Jeno ta trawa szmerem się kołysze,
Kiedy ją trąci smętny blask słoneczny;
Modlitwa jakaś idzie ponad ciszę
Na spokój wieczny.

Ciepłem westchnieniem wietrzyk tutaj ginie,
Płacząca brzoza tęskną żałość jęczy,
Woń macierzanki ponad groby płynie,
Pszczoła gdzieś brzęczy...

Wśród starych krzyżów pająk siatkę mota,
Białe motyle latają nad ziemią,
Hen, za obłokiem skowronek szczebiota;
Mogiły drzemią.

Z pobliskiej wioski Anioł Pański dzwoni,
Z pól niesie echo fujarkę pastuszą...
O, jakże spiący w tej cichej ustroni,
Słodko śnić muszą!

Tu od kolebki całe życie zbiegli,
Po pradziadowskich następując śladach,
A gdy Pan wezwał, toż i tutaj legli
Przy ojcach, dziadach.

Dzwonek, piosenka i brzęk pszczół swym tonem
Drżą nad grobami, jak przyjaźń dawniejsza,
I milej śni się pod ojców zagonem,
I ziemia lżejsza...

O, śnijcież słodko pomiędzy swojemi!
Boże! Wśród krzyżów tych me serce płacze
I trupom mogił zazdrości w ich w ziemi!
Serce tułacze...

Przed tobą, Panie, pierś się skargą żali,
Żeś życiu memu dolę dał pokutną,
Że dom daleko, grób gdzieś jeszcze dalej...
Obco mi, smutno!

Po dniach tułaczych, kędy mi łez tyle
Na obcy padło zagon, codnia inny,
O, daj choć spocząć w tak cichej mogile
Ziemi odzinnej!



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).



Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)



Rudy ajent trochę przybladł. Kiedy na ulicy ujrzał zdaleka Adama, współtowarzysza tylu wściekłych hulanek, wracającego do stolicy, sądził, że to jedyny grunt do zaszczepienia służalstwa. Dlatego też po jakimś czasie, gdy wyszedł od N. po zdaniu raportu, przypomniał sobie o nim, j a k w d y m; udał się wprost do starego znajomego, chcąc przybrać go sobie za pomocnika, i wprowadzić na tę samę drogę, na której sam się znajdował. Ani wątpił, że mu się to uda gładko, zdziwił się trocha, gdy znalazł Adama nieświadomym stanu rzeczy w Warszawie, a teraz dopiero poznał, z kim ma do czynienia. Adam w sam czas, bo właśnie, gdy w stolicy zakładano już otwarcie kuźnię dyplomatyczną, wyrwany został z tego otoczenia, w którem wzrastał Szubalski. Typ młodego szlachcica, który trzymał się wiernie przysłowia „hulaj dusza bez kontusza“, stosownie pojmował takie życie, bo tak żyło się w Polsce od wieków, ale nie mniej znał obowiązki synów ojczyzny: zginąć w boju za nią, jak tylu praojców. Z takiej więc sfery zapatrywań przeniesiony, nie mógł pojąć słów Szubalskiego. Ale bystry ajent — na to dość bystry — ogarnął w jednej chwili całe położenie; już wiedział, że Adam należy do takich, którzy przechodzili np. w skład konfederacyi barskiej, a na których miał główne uwagę zwracać. Przez czas pełnienia obowiązków ajenta, dość krótki wprawdzie, miał sposobność przekonać się, że z takimi trzeba postępować, jak z dzieckiem, któremu nigdy nie przedstawia się prawdziwych stosunków, panujących w świecie. Gniewał się na siebie teraz, że ufając dawniejszym stosunkom z Adamem i nie wybadawszy go, zapomniał wobec niego o tej regule. Postanowił poprawić się i po chwilce namysłu, potrzebnej do rozważenia tego wszystkiego, rzekł z delikatnym uśmiechem:

„No, no! nie bój się, anim się nie spił, anim nie waryat, tylko źle się wyraziłem, jak zwykle, chcąc żartować, a zapomniawszy, że ty nie wiesz o naszem tu położeniu. Rzecz się właściwie tak ma w krótkich słowach: Austrya i Prusy, to jest cesarzowa Marya Teresa i król Fryderyk gniewni, że carowa Katarzyna przeprowadziła wybór na króla swojego kochanka, Stanisława Poniatowskiego, postanowili królowi uszczuplić panowanie. Notabene, carowa zaopiekowawszy się raz naszym krajem, nie przestała i nadal się opiekować, choć sama w Rosyi ma tyle do roboty. Jako bystra dyplomatka, poznała zamiary dwóch państw, przysłała tutaj N., znakomitego statystę, któremu kazała niweczyć wszystkie zabiegi nieprzyjaciół; wiedziała, że u nas nie ma dobrych mężów stanu. Otóż głupia szlachta zaczyna udawać patryotów, wiązać się w konfederacyę, nie umiąc poznać się na przyjaźni carowej. Neukin lada chwila plunie na wszystko i przedstawi carowej, jak przyjmują jej dobrodziejstwa, wtedy zobaczymy, co szlachta pocznie. Ambasador znalazł kilku gorliwych patryotów, do których ja mam honor należeć. A ty co myślałeś, kochany przyjacielu?“ zakończył z uśmiebhem, że ja zdrajca, zaprzedaniec. Żem lubił hulać, toć i ty nie od tego, a mimo to ajentem byś nie został.“

Adam słuchał z prawdziwem zajęciem. Zdaje się, że mu to wszystko trafiało bardzo do przekonania. Zrobił poważną minę tak, że niktby teraz nie poznał w nim szlachcica, drwiąco oszukującego żydów.

„Wiesz, do polityki nigdy nie czułem pociągu, ale poczynasz mię zaciekawiać“, rzekł po chwili, chodząc z namysłem po pokoju, podczas gdy Juliusz, każdą razą skoro przyjaciel odwracał się od niego, ciekawe stroił miny.

„Julku, ale czy to tylko prawda? Ty wiesz przecie, że gdybym się przekonał, że breszesz, jak pies, tobym ci palnął w łeb jak psu; znasz przecie historyę zdrajców“, mówił znowu po chwili Adam. „Ot i masz człowieka, nibyto przednowki w domu, przyjeżdża aby się pobawić, a tu trzeba się polityką zajmować. Dyabli nadali...“, dodał śmiejąc się.

„O wszystkiem możesz się sam przekonać, choćby w tej chwili, pójdź ze mną do Neukina, usłyszysz, co ci powie“, rzekł rudy ajent.

„Dobrze, dobrze! tylko nie dziś — Ot, wiesz co, chodźmy do Gawła, pogawędzimy trochę“.

„Z największą chęcią, spotkamy tam z pewnością kilku z panów braci, usłyszysz, jak niektórzy rozumnie zapatrują się na tę sprawę“.

Po chwili dwóch dawnych przyjaciół szło ku rynkowi, gdzie znajdowała się sławna piwnica pana Gawła Kącickiego, my zaś, choć niechętnie, opuścić ich musimy



SIEROTA.

na czas jakiś i zaglądnąć znowu gdzieindziej, tą razą niedaleko, bo tylko na jednę z główniejszych ulic w Warszawie.

IV.

Udawać, jak można najdłużej, przyjaciela i opiekuna Rzeczypospolitej, aby tem łatwiej i z tym mniejszym trudem zagarnąć potem jej kraje, oto znana polityka Rosyi podczas trzech rozbiorów. A jeżeli kiedy, to natenczas zeszły się tak okoliczności, że biednym obywatelom — tj. zajmującym się szczerze przebiegiem wypadków — a takich niewielu było — dyplomaci rosyjscy najczęściej się przedstawiali. Szereg ich, rozpoczął Repnin. Gdy ten porządnie już nabroił, wtedy gabinet Katarzyny, zawsze udając, jakoby czem innem był zajęty, a Polską z niechęcią się tylko „opiekuje“, przysłał ks. Wołkońskiego. Dwa lata pracy tego człowieka, potrafiły znowu Poniatowskiego, chwilowego konfederata, nawrócić do Rosyi, gdy tymczasem z początkiem r. 1771. w Petersburgu ułożono sekretnie podział między trzy państwa. Ponieważ Wołkońskiego polityka miała na celu projekt rozbioru odsunąć aż go korzystnej chwili dla jego pani, zmieniono więc znowu ambasadora i przysłano N. Tego zadaniem było uspokoić niby kraj, a Konfederatów pod pozorem korzyści dla samej Polski, zupełnie wygubić. „Robotę“ swoję rozpoczął od deklaracyi w imieniu imperatorowej, wzywając naród do wspólnej pracy, uspokojenia zaburzeń, podniecanych przez „prywatne osoby“, a konfederatów do złożenia broni, zapewniając o najlepszych chęciach carowej, w celu utrzymania niepodległości narodu i o amnestyi dla tych, którzy broń złożą. Nie poprzestając na tem i sam osobiście przekonywał rozmaite osoby o prawdzie słów swoich i w tym samym duchu przyciągał ich na swoją stronę. Nieszczęście znowu chciało, że napozór przez pewien czas słowa ambasadora zgadzały się rzeczywiście z uczynkami. Jedynie, co do konfederatów, trudniejszą miał z nimi sprawę, ale to była już rzecz osobistego zapatrywania. O konfederatach różne miano wyobrażenie, to też, choćby dla samego usunięcia rozlewu krwi, chętnie skłaniano się na jego stronę. Szły więc na ofiarę obcemu najezdcy obywatelskie serca, poczucie honoru i cześć narodu. I dlatego to powinniśmy już raz rozgrzeszyć, po większej części wszystkich prawie winowajców z owej epoki, bo zgrzeszyli „zachwyceni zdarzeń ciekiem“. A „któż zachwycon zdarzeń ciekiem, nie popełnił nigdy winy?“.

Było to wieczorem na trzeci dzień po przybyciu starościca Karskiego do Warszawy. N., mający swój gabinet przy jednej z pierwszych ulic w Warszawie, siedział w swlm pokoju przy biurku, przeglądając rozmaite akta. Robił to dość niedbale, jakby od niechcenia, czytając tu i ówdzie i znacząc ołówkiem niektóre ustępy.

Politykę jego jużeśmy nakreślili; co do osoby niewiele powiedzieć można i wystarczy wspomnąć, że straciwszy w Ojczyźnie honor i karyerę — a nie był z rodu Moskalem — szukał obòjga w Rosyi. Już raz przed kilku laty przyjeżdżał do Warszawy „godzić“ powaśnione stronnictwa, jako sekretarz Panina, a teraz wkońcu doczekał się sam ambasadorstwa.

Gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca znikły i w pokoju zaczęło się już ciemno robić, N. odłożył już na bok akta i przeciągnął się nieco, potem mruknął:

„Czekajcie panowie! Już ja was rozumu wyuczę. Będziecie wy lizać łapę Moskalom, oj będziecie!

Groźba tyczyła się głównie członków tak zwanej Rady patryotycznej, zawiązanej w ostatnich czasach przez Wołkońskiego a przekazanej N., jako inwentarz nikczemnych narzędzi, którzy stawiali opór projektom nowego ambasadora — lecz nie z przekonania, tylko na żądanie pruskiego posła. Poniński, prymas Podoski i biskup wileński Massalski, nazywało się tych trzech członków. N., pod pozorną łagodnością kryjący dzikie kły, potrafił sobie dać z nimi rzeczywiście radę.

Do pokoju, cicho jak kot, wszedł znany nam Szubalski, a gdy drzwi otwierał, mignęła w przedpokoju znana nam postać starościca, w polskim stroju. Jak sobie czytelnik przypomina, Juliusz pociągnął Adama ze sobą do pana Gawła, gdzie między innemi wszczęto na nowo rozmowę o polityce.

Obrotność Juliusza, który zresztą wobec takiego prostaka, jakim, co do polityki, był Karski, niewiele musiał się wysilać, obrotność jego zdziałała przynajmniej to, że zdecydował się oddać swoje usługi ambasadorowi. Tylko nie chciał się z francuska ubrać, twierdząc po staropolsku, że nawet i dla gościa — jak nazywał N. — maskaradować się nie trzeba. Zresztą przemyślny ajent nic przeciwko temu nie miał, mówiąc, że sam N. strój polski bardzo lubi, a myśląc sobie, że staroświecczyzną trącący starościc, więcej znajdzie posłuchu u szlachty, niż on, modny paniczyk. Nie robił on tego wcale z przyjaźni dla starościca, lub z poświęcenia się dla sprawy ambasadora, ale chodziło mu o to, że od kilku miesięcy, jak jest w jego służbie, nie udało mu się nic jeszcze wielkiego zrobić, spodziewał się więc, że zawładnąwszy nowym ajentem, zręcznie potrafi wyzyskać dla siebie jego zasługi.

Przybył więc teraz uwiadomić „Jaśnie Wielmożnego Pana“ o tem, co projektuje. Spodziewał się już od kilku dni odprawy, stał więc skulony, ale niebardzo blisko drzwi, żeby rozmowy nie słyszał Adam, nie śmiejąc pierwszy rozpocząć.

N. patrzał przez okno i nie odwracając się do ajenta, pytał:

„No, cóż tam nowego. Przywlókłeś się, aby mi przypomnąć, jak Polaki potrafią się psami zrobić, co? Wiem ja, wiem, na każdym kroku to widzę. Wy Polaki okropnie głupi jesteście — doprawdy, nie wiem. jak wy mogli przez kilka wieków istnieć, że was nikt nie pozabierał do służby“.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Adolf Stroner.

 ZEREMOSZ.

Czeremoszu czarny, biały —
Skąd w tobie te moce,
Że tak szumisz, huczysz, śmiały,
I we dnie i w noce?

— Szumię, bom jest zawsze młody,
Huczę, bo mi skały,
Które kruszę, mącą wody
Czyste, jak kryształy.

— Dawniej szumiał tu z zapałem
Wolny lud, choć dziki,
I ja także z nim szumiałem,
Szedłem na wybryki.

— Później lud ten wzięto w kleszcze:
Tylko z bory, lasy
I jam szumiał — wolny jeszcze,
Jak dawnemi czasy.

— Dziś, niestety, chociaż huczę,
Lecz huczę z wściekłości,
Gdy się spławy dźwigać uczę,
Pozbawion wolności...



Artur Schnitzler.

OWACYA.

NOWELETTA Z ŻYCIA TEATRALNEGO.

(Dokończenie).

Już od pół godziny siedzieli nasi znajomi w „Cabinet particulier“ i czekali. Lecz Blandini nie przyszła jeszcze.

„Ona wcale nie przyjdzie“, rzekł Fred.

„To niemożliwe“, odpowiedział August. „Umówiliśmy się wczoraj jeszcze, a nadto pisałem dziś poobiedzie do niej“.

Wiesz, co sądzę, że byłoby stosownem?“ zauważył Emeryk.

„Co takiego?“ spytał go August.

„Powinniśmy Rolandowi...“

„Daj mi już spokój z tym Rolandem, żart się udał, publiczność się zabawiła przytem, — a teraz... koniec na tem“.

„Dobrze, dobrze“, rzekł Emeryk. „Lecz sądzę, że powinniśmy mu, to jest Rolandowi, coś posłać“.

„Czy pieniądze?“ spytał Fred.

„Naturalnie, że pieniądze, właściwie to mu należy, czy nie uważasz, Guciu?“

„Przecie możemy to uczynić“, odrzekł mu krótko August.

Fred patrzał przed się. Wszyscy milczeli. Nagle August wstał.

„Pojadę po nią“.

„Do teatru?“ spytał Emeryk.

„Nie. Do niej. Przecie w teatrze być nie może, to stanowczo niemożliwem“.

„Więc sądzisz, że mogła zapomnąć o twem zaproszeniu?“

„Ty zawsze musisz mieć coś do gadania“, rzekł August gniewnie, wdziewając palto.

„Czy wrócisz napewne?“ spytał go Emeryk.

„Tak, tak, z pewnością z nią. Do widzenia“.

Oddalił się szybko. Przechodząc, mijał drzwi innych małych pokoików; z jednego z nich rozlegały się dźwięki walca, którego jakiś bardzo niemuzykalny człowiek na rozstrojonym fortepianie strasznie rzępolił.

August wyszedł na ulicę. Cicho było na nie̔, lecz dość jasno. Śnieg, leżący na ulicy roztaczał jakąś jasność mglistą, jednostajną.

Śnieg ciągle padał wielkiemi płatkami. August Witte usłyszał w tej chwili turkot nadjeżdżającego powozu. Poznał, że powóz do niego należy i dał znak woźnicy, by wstrzymał konie. Po chwili siedział obok panny Blandini.

„Czy cię interesuje dokąd jedziemy?“ spytała.

Poczęła mówić dalej, okrutnie, z jakąś dziką rozkoszą:

„Czekałam na niego po przedstawieniu; lecz go już nie było... wówczas udałam się do jego mieszkania, lecz nie było go w domu. Następnie odszukałam restauracyę, dokąd czasami uczęszcza — lecz i tam go nie było... A teraz, jedziemy do teatru, bo nie mam spokoju... aż go nie odnajdę... rozumiesz?!“

August nie odrzekł ani słowa; lecz udusiłby ją chętnie.

Powóz toczył się po moście na Dunaju, wreszcie zatrzymał się przy wąskiej uliczce, koło małej, tylnej bramy gmachu teatralnego, prowadzącej na scenę. Blandini wyskoczyła z powozu; August za nią. Drzwi były dawno już zamknięte. Stróż nocny, który właśnie przechodził, spoglądał ze zdziwieniem na młodą kobietę, która o północy tu zadzwoniła. Po kilku sekundach, otwarły się drzwi, a w nich ukazał się portyer, z latarką w ręku.

....Jezus Marya! panna Blandini... co to...? Czy się coś stało?

„Poświećcie mi!“

August stał za nią.

„Ten pan nie ma tu czego szukać“, rzekła wyniośle. „Zamknijcie bramę!“

Odepchnęła gwałtownie Augusta i przymknęła sama bramę. Podczas gdy szła z portyerem przez wąski kurytarz, prowadzący na scenę, spytała go: „Czy widzieliście Rolanda?“

Portyer namyślał się. „Proszę panny, teraz z pewnością nie ma nikogo w garderobie, przed dwiema godzinami zamknąłem bramę“.

„Czyście go widzieli wychodzącego?“ spytała prawie błagalnie.

„Czym go widział...? Doprawdy... niemogę sobie przypomnąć... Tylu ludzi się przecież widzi, nieprawda?“

Blandini zatrzymała się na chwilę, następnie przeszła pospiesznie przez scenę, aż do małych schodów i poczęła na nie wstępywać.

„Ależ proszę panny“... rzekł portyer, który ledwie mógł jej nadążyć ze swą latarką, „tu jest przecie męska garderoba!“

Nie odpowiedziała mu ani słowa.

„Gdzie jest garderoba Rolanda?“ spytała.

„Nie wiem, proszę panny.. Ja tam nigdy nie chodzę, na górę, lecz o ile wiem, to imiona są na drzwiach powypisywane“.

Wzięła mu latarkę z rąk, i przechodziła od drzwi do drzwi, odczytując mozolnie napisy. Wreszcie dotarła celu. Na białym arkuszu, przylepionym do drzwi, widniały trzy imiona: Engelbert Brunn, Oswald Friedemann, Fryderyk Roland. Chwyciła za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Kilka chwil stała Blandini bezradnie. Wreszcie wpadło jej coś na myśl. Poczęła szukać czegoś w swej kieszeni, po chwili odetchnęła głęboko. „Może ten będzie dobry“ szepnęła zcicha, dobywając małego kluczyka. Kilka razy pokręciła nim w zamku i nacisnęła klamkę — drzwi się otwarły. — Naprzeciwko niej, zdawała się opierać o okienice jakaś okropnie długa postać. „To kostyum jakiś“ pomyślała w w pierwszej chwili. Podniosła wysoko latarkę — i krzyknęła strasznie.

„Boże miłosierny!“ krzyknął portyer i przyskoczył do okna. Zdawało się, jakby Fryderyk Roland stał tam żywy, jego ramiona zwisały nieruchomo, a głowa opadła mu na piersi.

„Powiesił się“ wybąknął portyer.... „powiesił się“.

Blandini stała nieruchomo i wpatrywała się w wisielca.

„Panno... wie panna co, ja zawołam tego pana z dołu, a po drodze obudzę inspicyenta i dam znać policyi“.

Blandini drgnęła lekko i rzekła cicho: „Tak, tak... idźcie. Ja tu pozostanę... lecz temu panu powiedzcie, by sobie poszedł, żebym go nigdy więcej nie widziała!... Powiedzcie mu, by odszedł, spiesznie, bo gdy go zastanę na dole, to mu w twarz napluję!“

Ostatnie słowa wykrzyknęła tak dobitnie, tak głośno, że portyer aż przykucnął, a kiedy pociemku przechodził przez scenę, brzmiały mu jej słowa jeszcze przez długi czas w uszach.

Tłum. H. F.—l.



Dr. Jan Stella-Sawicki.

Trinidad i Venezuela.

We wtorek, w Towarzystwie przyrodników polskich imienia Kopernika, pofesor Zuber miał niezmiernie ciekawy odczyt o podróży swej w krainy podzwrotnikowe, na wyspę Trinidad i do rzeczypospolitej Venezueli, wezwany przez niemieckie Towarzystwo przemysłowców, dla zbadania tam pokładów asfaltu płynnego, w który obfitują te krainy.

Wyspa Trinidad ma postać czworoboku wydłużonego z południa ku północy. Ludność tamtejszą składają przeważnie murzyni i mulaci, mówiący zepsutym językiem francuskim, lub angielskim i plantatorowie, potomkowie dawnych Hiszpanów, posługujący się językiem hiszpańskim. Puerto de Espana czyli po angielsku Port of Spani, główne miasto wyspy, położone w północnej jej części, po zaprowadzeniu w niem kanalizacyi i wodociągów, odznacza się niezmierną czystością, która uderza każdego przybysza. Asanizacya miasta i wzorowe stosunki hygieniczne, zmieniły to miasto w rodzaj stacyi klimatycznej, do której zjeżdżają się na lato mieszkańcy środkowej części wyspy, niezmiernie niezdrowej i bardzo często nawiedzanej malaryą, dysenteryą i żółtą febrą. W okolicy miasta, napełnionego mnóstwem pięknych wil, znajdują się dość liczne osady Indusów, sprowadzonych tu przez Anglików, a odznaczających się pilnością i pracowitością, które stały się podstawą ich dobrobytu, tak, że większa część stała się

właścicielami tych obszarów, na których zostali osiedleni.

Pod wpływem geologicznym, wyspę można podzielić na trzy części: północna część przedstawia skały starokrystaliczne, środkowa jest niziną pagórkowatą, bardzo niezdrową, ale niezmiernie urodzajną, posiadającą wielkie plantacye trzciny cukrowej, a w lasach kauczukowe drzewa, kakao i kawę. Część ta wyspy składa się z iłów mioceńskich. Nareszcie południowa część jest znowu górzysta, przedstawiająca bardzo wielkie podobieństwo, co do układu, do naszych gór karpackich.

Na zachodniej stronie wyspy, w półtora mili od brzegu morza, na wzgórzu, wznoszącem się na 45 metrów ponad jego poziom, znajduje się słynne jezioro asfaltowe, zawierające asfalt płynny, lecz tak zgęszczony, że po nim można przebiedz. Asfalt ten, przy temperaturze +36 R. jest stały i elastyczny, a pomimo to, cała masa jego tak, jak lodowce w górach, posuwa się, płynie, a rowy, wykopane w tem jeziorze dla eksplotacyi asfaltu, który wywożą w ogromnej ilości, zalewają się w kilka tygodni, pozostawiając na powierzchni zaledwo ślady wykopu w zagłębieniach, w których zbiera się deszczowa woda.

Wydobyty asfalt jest porowaty, jak ser szwajcarski, wskutek działania gazów, które wypychają asfalt z głębin na powierzchnię. Droga dojazdowa do jeziora jest pokryta warstwą asfaltu, ułatwiającego komunikacyę. Zbadawszy okolicę, profesor Zuber przyszedł do przekonania, iż jezioro to ma takie samo pochodzenie, jak i wulkany błotne, które znajdują się w okolicy, tylko zalane nie błotem, a asfaltem, wypychanym z pokładów piaskowych przez gazy palne.

Prócz tego jeziora i wulkanów błotnych, są tam źródła asfaltu płynnego, mającego bardzo przyjemny zapach, z którego rafinerye mogły wyciągnąć około 40 prc. olejów świetlnych.

Roślinność wogóle cudowna. Po drzewach, dochodzących do bardzo znacznej wysokości, pną się ljany i plączą całe lasy w jedną, nieprzebytą gęstwinę. Ponad wierzchołki niższych drzew, strzelają wysokie palmy i tworzą nad lasem niby drugie państwo lasu. Prelegent przedstawił fotografię kaskady, spadającej jak Stanpach ze stromej skały, otoczonej niesłychanem bogactwem flory; woda w kaskadzie lazurowa, iskrzy się złotem od promieni słonecznych i różnych odcieni, szmaragdami roślinności. Na wyspie mnóstwo ptaków, grzechotników, boa dusicieli, moskitów, pcheł ziemnych itd.

Z wyspy Trinidad profesor Zuber, na małym statku żaglowym udał się do rzeczypospolitej Venezuela i zatrzymał się w zachodniej części delty Orinoko. Przystęp do delty, z powodu ławicy piasku, który nanosi olbrzymie Orinoko, jest bardzo trudnym, bo w niektórych miejscach ławica ta wznosi się na dwa tylko metry pod powierzchnią wody, a jest tylko jedno, dość wąskie przejście, mające około 40 metrów głębokości. Delta ta przedstawia ogromną sieć kanałów głównych i pobocznych, łączących te kanały, które tworzą tysiące wysepek niskich, pokrytych lasem. Powikłane wierzchołki drzew stanowią istne zielone sklepienia, pod któremi wieczny zmrok panuje. W dusznem, parnem i wilgotnem powietrzu, roją się dokuczliwe owady, różnorodne moskity, jaguary, kangury, a w bagnach płazy, węże, żółwie olbrzymie. Przez lasy te płyną niezliczone potoki i rzeki, lub rozlewają się w bagna, na skraju zaś, lub tam, gdzie się las przerzedza i promienie słońca wedrzeć się mogą, buja najśliczniejsza roślinność i najpiękniejsze kwiaty. Skrajna wyspa na zachodzie, nazywa się Federnales, czyli Krzemienna. Nazwa ta pochodzi od skał krzemiennych, podobnych do naszych ustrojów karpackich. Jest tam osada, licząca około 60 mieszkańców, a w niej komora celna, bardzo sumiennie pełniąca swe zadanie. Klimat tam zdrowszy, jak na reszcie przestrzeni delty, która co do obszaru swego, jest dwa razy większą od Saksonii.

Są tu dwie pory roku: sucha i deszczowa. W porze deszczowej nie leje tak, jak u nas, deszcz całemi dniami, lecz kilka razy dziennie nadchodzi chmura, zrywa się huragan, deszcz leje się, jak z wiadra, ale nie dłużej jak godzinę, poczem słońce znowu zaczyna piec nielitościwie i zaraz wszystko wysycha.

Na ostrowach delty Orinoko rośnie w bardzo wielkiej liczbie drzewo Rhizophora Mangle, puszczające z konarów prostopadłe korzenie, chwytające się ziemi i mułu. Zaledwo taki korzonek dotknie ziemi i namułu, natychmiast puszcza korzenie i w ten sposób zdobywa teren dla kontynentu. Palmy kokosowe rosną tu w bardzo wielkiej liczbie i dostarczają orzeźwiającego napoju. Małpy różnego rodzaju, tysiączne gatunki papug, mrówkojady, leniwey, czaple, flamingi, — przedstawiają nadzwyczajne bogactwo fauny. Handel piórami ptasiemi dostarcza mieszkańcom bardzo pięknego dochodu. Nocną ciszę przerywają ryki zwierząt drapieżnych i przeraźliwy krzyk wyjców i leniwców.

Na wyspie Federnales i dalej na wschód, występują źródła asfaltowe i znajduje się tam również jezioro asfaltowe, w którem setki małych kraterów wyrzucają płynny asfalt o zapachu aromatycznym. Asfalt ten w temperaturze 43° R. staje się płynniejszym, ale przy 200° R. traci elastyczność i staje się łamliwym, jak nasz. Wiercenia, dokonane przez prelegenta świdrami ręcznemi, wykryły pokłady piaskowca, zawierające wielką ilość asfaltu.

Fauna wodna w delcie jest bardzo uboga, bo woda mętna nie sprzyja życiu mieszkańców głębin wodnych. Znajdują się tam ślimaki i drobne pstrągi, podczas gdy na brzegach morza łowią ostrygi niezmiernej wielkości.

Zbadawszy stolicę delty Orinoko, prelegent odjechał do portu, zwanego „piekłem Venezueli“, z powodu wysokiej temperatury, która w cieniu często dochodzi 45° R. Na zachodzie rzeczypospolitej wstępuje do tego kraju wschodnie pasmo Kordyljerów z Nowej Granady, a na południowym wschodzie wznosi się górzysta kraina Sierra Parime, która sięga do prawego brzegu rzeki Orinoko. Kraj ten obfituje w bawełnę, tytoń, cukier, kawę, kakao, zboże, owoce południowe itd. W lanosach żyją wielkie stada dzikich koni i bydła, a chów ich, rolnictwo i wojna, są głównem zajęciem mieszkańców.

Stolica Venezueli, mająca do 100 tysięcy mieszkańców i uniwersytet, leży w nader pięknem położeniu, ale w ostatnim czasie, wskutek ustawicznych wojen domowych, bardzo zniszczona, powoli wznosi się ponownie z upadku.

Z Venezueli przez Valencyę i Haiti, prelegent wrócił do Europy, zwiedziwszy jeszcze po drodze interesującą murzyńską rzeczpospolitę S. Domingo, w której ludziom białym osiedlać się nie wolno.

Bolesławicz

Pogadanki teatralne.

AKTORZY O AKTORACH.

Jeżeli ktokolwiek miał sposobność słyszeć, co mówią aktorzy, lub aktorki o swoich kolegach i koleżankach; jeżeli ktokolwiek czytał to, co piszą o teatrze sami aktorzy — ten z pewnością dziwnego musiał nabrać przekonania o tych „kapłanach i kapłankach sztuki“.

Ustne rozpowiadania — w formie ploteczek — co się za kulisami dzieje, nietyle jednak szkodzą światu aktorskiemu, ile drukowane prace z przesadą i jakąś dziwną goryczą pisane.

Aktorzy bowiem, puszczając w świat swoje broszurki, pamiętniki, powiastki i artykuły, z całą naiwnością starają się przekonać czytelników, że teatr... to jest instytucya, która hoduje blagierstwo, czelność i niemoralność.

Wykazują, jak na dłoni, że uczciwa praca w teatrze niema znaczenia, a upadek kobiety jest rzeczą tak zwykłą, że się z tem liczyć nawet nie potrzeba!

Zwykłym śmiertelnikom zdawałoby się, że światem aktorów jest teatr; ich marzeniem... sztuka.

Tymczasem, jak się okazuje z prac wydawanych przez ich kolegów, teatru nie lubią, sztuką się nie interesują.

Kochają tylko swoje role, zwłaszcza takie, które im dają powodzenie.

O tych więc aktorskich publikacyach pragnę dziś pogawędzić.

Dwa są rodzaje tych prac:

Jeden ckliwy, aż do znudzenia, drugi naiwno filozoficzny; a obadwa rodzaje każą czytelnikowi wierzyć w uczciwość tam, gdzie jej niema, albo też puste frazesy każą brać za prawdę i szczerość.

Ulubionych typów jest cztery.

W każdej pracy literackiej, wydanej przez aktora — jeżeli nie wszystkie razem — to przynajmniej pojedyńczo bywają przedstawiane, a mianowicie:

Nr. 1. Bohater, który porzuca żonę i dzieci a biegnie za nowo wybranym ideałem (naturalnie młodym, pięknym i utalentowanym).

Nr. 2. Kokietka zimna i wyrachowana, poświęcająca wszystko, byleby sobie zapewnić stanowisko i sławę. Nie rozumie ona miłości, ani przyjaźni, rozumie tylko handel.

Nr. 3. Zapity aktor i jego szlachetna żona. — W domu ich panuje nędza. — I podczas, gdy żona rozpacza, jej mąż pijany ciska gromy na cały świat w ogólności, a w szczególności na dyrekcyę, że mu żadnej roli nie daje. Ochrypłym głosem deklamuje dawne swoje kreacye — obojętny, że dzieci i żona są głodne.

Nr. 4. Młode aktorki, poświęcające się dla swoich bezimiennych dzieci. Przedstawione, jako istoty bezmyślne, leniwe i głupie umiejące tylko wzdychać i płakać. I chociaż autorowie z namaszczeniem wołają: „że tym biednym istotom wszystko należy przebaczyć, gdyż one są prawdziwie nieszczęśliwe ofiary“... to przecież czy-

telnik nie wzrusza się ich losem, i... ani przebacza, ani też zajmować się niemi nie myśli.

Wszystkie te powiastki, czy też pamiętniki, od pierwszej, do ostatniej stronicy, podobne są — jak dwie krople wody — do siebie.

Jeżeli mamy jakąś postać szlachetną, to tak przesadnie opisaną, że doprawdy wierzyć się nie chce, aby taka szlachetność mogła wogóle istnieć na ziemi.

Oto jej obraz:

Ciągle ona płacze i jęczy. Stroni od ludzi. Znosi przycinki i żarty uszczypliwe swoich koleżanek. Apatycznie występuje na scenę i doprowadza do tego, że dostaje dymisyę, a w końcu umiera... zawsze jednak umiera na suchoty!

W komedyi p. t. „Debiutantka“, napisanej wprawdzie nie przez aktora, ale przez byłego dyrektora teatru, mamy w tytułowej roli typ owej szlachetnej damy, która stanowi pod tym tylko względem wyjątek, że nie umiera na suchoty, tylko na szynach kolejowych, wśród siarczystego mrozu!

Mamy też — w owej komedyi — z całą wiernością oddany typ Nr. 1, to jest bohatera, porzucającego swą żonę, a biegnącego za ideałem w osobie „Debiutantki“.

Typ to wstrętny — a jednak niezbędny w aktorskich powieściach, nowelach i pamiętnikach.

I rzecz godna uwagi, że aktorzy, tak draźliwi na punkcie krytyki, z pobłażliwością przyjmują owe płody literackie, które, jako wyszłe z pod pióra kompetentnych ludzi, dają — bądź co bądź — dużo do myślenia.

Przypuśćmy jednak, że w tych przesadnych i na jeden szablon pisanych utworach jest jakaś część prawdy; że istotnie pewne jednostki mają tam wierne swoje odbicie, to z drugiej strony trudno przecież uwierzyć, aby pomiędzy temi jednostkami, nie znalazły się takie, które pod każdym względem zasługują na szacunek.

Nie chodzi tu o to, ażeby aktorzy, pisząc o teatrze używali tylko pochwał i uniesień dla swoich kolegów i koleżanek. Nie. Chodzi tylko o to, aby — jeżeli już chcą o teatrze pisać — się pozbyli przesady, nienaturalności i przestarzałego szablonu.

To, co się dzieje w teatrze, dzieje się i za teatrem.

Ludzie są ludźmi. Bywają źli, ale bywają i dobrzy.

Tymczasem w aktorskich pracach mamy krzykaczy, plotkarzy, intrygantki, albo też ślamazarne ofiary... Mamy tam przedstawioną zawiść, posuniętą do ostatnich granic, mamy podstępne działanie, tak zwane „kopanie dołków pod drugimi“ — nie mamy tylko dodatnich charakterów.

Bo dodatnim charakterem niepodobna nazwać naprzykład pana Iksa, który popełnia czyn niehonorowy, a autor na podstawie swoich pojęć dowodzi, „że on temu nie winien, gdyż uczynił to dla świętej sztuki, którą całą duszą ukochał“.

Nie można także brać na seryo upadłych kobiet, dla których autor prosi o litość i pobłażanie; wreszcie zgodzić się nie można z autorem na to, aby tak, jak on, nazywać nieuczciwość uczciwością, a niedołęstwo szlachetnością!



Ze świata kinkietów i szminek.

CYKL SYLWETEK

szkicował: Enesmol.

Michał Tarasiewicz.

Zapisany pod tem imieniem i nazwiskiem w rubrykach spisu ludności, artysta jest taki zawsze poważny i seryo w zetknięciu się z nim w życiu codziennem, że sylwetkę jego z miejsca należy nastroić na dyapazon co najmniej tak uroczystego życiorysu, jaki się fabrykuje na rzecz któregoś z wielkich mężów stanu.

A więc urodził się... Tak jest, tylko w ten sposób trzebaby rozpocząć. Stanowczo... urodził się... i to w 1871 r. w Krakowie, gdzie ma rodzinę i do którego wciąż tęskni z całą nostalgią Indyanina, przewieziono do Londynu na jubileusz królowej Wiktoryi. W szkołach tzw. średnich przeważnie kulejący i utykający zmęczył je wreszcie tu we Lwowie w gimnazyum Franciszka Józefa. Nerw sceniczny odzywał się u niego silnie już wtedy na ławkach gimnazyalnych. Pewnego razu wyrwany z tłumaczenia Homera i zagrożony dwójką, uratował się przed nią zagraną doskonale ex improviso sceną omdlenia. Udała mu się tak wybornie, że przestraszony światłodawca przerwał lekcyę i kazał czemprędzej wezwać lekarza. Zachęcony powodzeniem swych pełnych ognia deklamacyi na wieczorku mickiewiczowskim w klasie ósmej, tak sobie te oklaski i entuzyazm wziął głęboko do serca, że powiedział sobie wówczas nieodwołalnie: będę aktorem!...

I dotrzymał swego. W rok potem tj. 1900 był już uczniem dramatycznej szkoły warszawskiej. Ukończył ją. Debiutował parę razy w „Wodewilu“, poczem wyjechał w podróż za granicę przypatrzyć się i studyować sceny wielkostołeczne. W roku 1895. zaangażował go Przybylski do Lwowa, dając mu debiut w „Zbójcach“. Tarasiewicz, przedzierzgnięty w Karola Moora zachwycił wówczas publiczność lwowską. Ale był to tylko błysk meteoru, jasny i olśniewający, ale natychmiast zagasły. Niestosownie obsadzany pan Michał nie mógł wówczas, jak chciał, rozwinąć swych skrzydeł



do artystycznego lotu. Rzucił tedy scenę wielkomiejską i poszedł na prowincyę. Grał kolejno w Poznaniu i w Łodzi. Przez ten czas „wyszkolił się“ należycie, dojrzał i zmężniał. Zaangażowany przed dwoma laty na scenę krakowską przez Kotarbińskiego, przyjechał tam już jako doskonały amant bohaterski, który zaimponował dyrekcyi, krytyce i publiczności.

Na wysokich koturnach sławy postawił się odrazu „Kordyanem“. Zagrał przytem przepysznie Percineta w „Romantycznych“, Bertranda d' Allmanson w „Księżniczce z za morza“, wreszcie Albina w „Ślubach panieńskich“ i zdobył sobie przydomek benjaminka krakowskiej publiczności zpn. Uwiedziony przez Pawlikowskiego na sezon obecny do Lwowa, przyjeżdża tu jako patentowana pierwszorzędna znakomitość sceniczna. Zagrał Wojtka w „Prologu“, potem Fantazego w „Niepoprawnych“ i zgodzono się na to bez szmeru i protestu.

Na razie Tarasiewicz wciąż się jeszcze u nas aklimatyzuje. Co wieczór chodzi systematycznie do kawiarni „Boulvard“ na gazety. Przerzuciwszy zagraniczne illustrowane bierze się do tubylczych pism, wyczekując recenzyi. Na niesłuszne i niesprawiedliwe, choćby nie dotykały jego osoby, oburza się z całą szlachetną godnością obrażonego milorda. Z taką samą godnością zasiada niekiedy od wielkiego święta do partyi preferansa (3 ct. — szton — nie wyżej) a przegrywając zapewnia solennie, że się kocha, ale... tylko na scenie.

Swoją drogą na konkursie męskich piękności przepadłby z kretesem. Co najwyżej przyznanoby mu jako okoliczności łagodzące, żywe i rozumnie iskrzące się oczy i niezwykle mięsiste, obiecujące, z odcieniem silnego przekrwienia usta, z za których przegląda w uśmiechu rząd zębów lśniąco białych, jak u murzyna. Jako okoliczności obciążające zaś przytoczonoby niebarmonijnie w czoło narysowany nos z rozdętemi zawsze chrapami i daleką od gładkości płeć. Stąd nigdy po staropolsku „gładyszem“ nie mógłby być nazwan.

W świetle kinkietów elektrycznych mimoto zachwyca wyrazistością, wypartych umiejętnie charakteryzacyą rysów, okazałą i imponującą postawą, zwłaszcza w rolach kostyumowych i dykcyą, niesłychanie dźwięczną i szlachetną. W ruchach na scenie wstrzemięźliwy i bardzo dystyngowany. Grę jego cechuje wogóle silnie uświadomiona refleksya, licząca się z środkami i efektami, których użyć powinna i któremi rozporządza.

Za kulisami zwłaszcza u koleżanek cieszy się sławą „najlepiej wychowanego kolegi“.

Bardzo często budzi wśród nich senzacyę nieskazitelnie zaprasowanemi dolnemi okolicznościami swej toalety. Temu małoznacznemu szczegółowi ma zawdzięczać niejedną lewę w erotycznym labecie. Zapytywany jednak o bliższe szczegóły tej gry, milczy, jak grób i tylko smętnie i z godnością uśmiecha się pod swą wygoloną górną wargą.

Przechodzi do porządku nad zdolnościami reżyserskiemi Solskiego w dramacie i szuka niezmordowanie środka na porost włosów Znakomicie przytem deklamuje; w ubiegłym sezonie był nieunikniony wprost i zamęczany na wszystkich arystokratycznych rautach w Krakowie. Poleca się w tym względzie i na Lwów wszystkim komitetom, urządzającym dobroczynne koncerty, rauty i wieczorki.

Bertold Menkes.

„DLA SZCZĘŚCIA“ — PRZYBYSZEWSKIEGO.

Śmiech mię zbierał, ilekroć przypatrywałem się „robocie krytyki około Przybyszewskiego“.

Jedni padali przed nim na kolana.., tytułowali Mistrzem — Elnorem, ową gwiazdą, mającą wedle przepowiedni biblijnej rozbłysnąć na firmamencie po zamarciu skorupy ziemskiej.

Drudzy wytaczali przeciw niemu najsroższego kalibru armaty: czynili zeń modern-Sokratesa.

„Oskarza się Stanisława Przybyszewskiego, że:

1-o bada rzeczy ukryte przed okiem ludzkiem (wnika w genezę wszechrzeczy i zdziera zasłonę Maji, przesłaniającą rzeczywistość)

2-o nie wierzy w Boga, jeno wprowadza cudze bóstwa (kult szatana)

3-o stara się rzeczy gorsze w lepszem świetle przedstawić (propaganda rozkładu rodzinnego, ba nawet społecznego; działanie anarchistyczne)

4-o psuje młodzież (seanse spirytualistyczne... koniaczki... rum u „Turla“...)“

Dla jednych jak i drugich miał Przybyszewski swe wielomowne: he, he...

— — — — — — — — — — —

Wobec tak krańcowego stanowiska, jakie wobec niego zajęto, trudno, oceniając jego dzieła, utrafić w ton, któryby przemówił zarówno do jego pogromcy, jak i wielbiciela. Wszak zarówno uprzedzenie, jak i fanatyzm unicestwiają spokój i trzeźwość kryteryum. A te są najważniejszemi przesłankami w wydaniu sądu o jakiemś dziele sztuki.

To też w tym wypadku najodpowiedniejszą wydaje mi się metoda następująca:

— Pan X. stworzył dzieło p. t. Dla szczęścia,

— dzieło to jest dramatem, wystawionym na scenie,

— scena zezwala do pewnego stopnia na objektywizacyę, umysł słuchacza zaprząta tworzywem, a nie twórcą — a więc bierzmy je tak, jak się nam ze sceny przedstawia t. j. w oderwaniu od autora i poddajemy je ocenie.

— — — — — — — — — — —

Właściwego dramatu na scenie nie ma. Widoczne są tylko jego skutki. Dramat rozgrywał się już dawniej, przez kilka lat między parą mężczyzn i parą kobiet, wprowadzonych na scenę.

W noc szału i upojenia, po nadmiernem wypiciu szampana, oddała się Olga Zdżarskiemu.. A potem: zbrzydł jej — porzuciła go... Poczęła przechodzić z rąk do rąk... To tak zwyczajne! — Ale nie tak łatwo odkochać się mężczyźnie. „Wcale nie gwałtownie... zwolna, „kawałek po kawałku gniła jego miłość“. I wtedy zdarzyło się, że Olgę poznał przyjaciel Zdżarskiego — Stefan Mlicki. „Jego miłość jest w trzech częściach prostą próżnością. Olśniewa go swemi śmiałemi sądami, pochlebia mu jej piękność, jej wyniosła duma; w okół niej roi się od mężczyzn; a to go oczarowało, że on został wybrany. Przytem umie nęcić, podrażnić, obiecuje jednem spojrzeniem więcej, ile inna nie da, choćby się całą duszą oddała“. Ale Mlicki nie rozporządza swą osobą. Od dwu lat łączy go stosunek z Heleną — stosunek czysty, idealny, bo zasadzający się na całkowitem stopieniu obu dusz. „Było im lepiej, zaczem...“ Cóż, kiedy t a m t a, ta druga, Olga, silniejsza! „A do tych ludzi, którzy sami siebie okłamują, do tych ludzi słabych, dla których tak zwany postęp jest ideałem, w imię którego niszczą najszlachetniejsze instynkty sercowe — należy Mlicki“.

W tej chwili właściwie rozpoczyna się działalność sceniczna autora. Stosunki, jakie się potworzyły między tymi ludźmi doszły do napięcia jeszcze przed podniesieniem kurtyny. Na scenie chodzi jedynie o uświadomienie sobie sytuacyi, o rozwiązanie węzła, który pęta te osoby i niedopuszcza sposobu życia uregulowanego, zharmonizowanego z własnemi instynktami.

W chwili, kiedy Mlicki cynicznie zabiera się do zerwania stosunku z Heleną „bez skandalu“ — zjawia się między nimi Zdżarski. On to w umyśle Heleny rozwidnia jej sytuacyę. Opuszczenie, noce bezsenne, zarobek u obcych, zarobek popłatny, bo spowodowany pięknością jej ciała..., a wreszcie: Stefan nie będzie szczęśliw w pożyciu z Olgą! Bo on, Zdżarski, wzgardzony przez Olgę kochanek, nie chce tego. On wszczepi w duszę Stefana taki jad, który nękać go będzie, aż stoczy cały jego organizm. On nie dopuści do szczęśliwego pozycia Olgi ze Stefanem, wsuwając między nich widmo wszystkich kochanków, którym się Olga oddała — i co najstraszniejsze: widmo Heleny, tej niepokalanej lilii, tak brutalnie przez Mlickiego podciętej... Jako znawca duszy ludzkiej wie Zdżarski dobrze: Mlicki nie przetrzyma myśli, że Olga przed nim już tuliła się do innego mężczyzny. Ta uporna myśl przydusi każdą chwilę szczęścia, jakaby zabłysnąć mogła w stosunku Mlickiego do Olgi. Jest pewnym, że odezwie się w nim samiec; „prosty, ordynaryjny samiec, samiec, który jest równo silny w duszy parobka, jak naprzykład w duszy człowieka tak moralnie przerafinowanego... Rozpoczyna się pierwszy akt szczęścia. Czujesz, że to wszystko, co kobieta po raz pierwszy daje, to wszystko, co w duszy kobiety jest tylko przeczuciem, obawą dziwną a tajemniczą, pełną strachu i pragnienia, to wszystko już w duszy twej, no, dajmy na to, żony — dawno przekwitło: już dawno zapomniała tego pijanego szału, z jakim się po raz pierwszy oddawała; he, he... jest doświadczona, może trochę zimna...“

Zdżarski tak zna duszę ludzką; miał słuszność; Mlickiemu szczęście truje ciągle się odnawiająca myśl o swych poprzednikach... Jad począł mu w duszy dziko nurtować, wyrastać w chwasty i zioła, oszałamiające go swemi oparami.

Ale Zdżarski ostrożny: a gdyby Mlicki zapomniał o swych poprzednikach? Wszak wówczas nie stałoby mu nic na przeszkodzie do szczęścia?... Na ten wypadek przygotował Zdżarski szare widmo Heleny, topielicy.. I szatańską iście mocą inspiruje następującą scenę: zwłoki Heleny każe przenieść z trupiarni do mieszkania, gdzie Stefan i Olga zażywać mieli pełnego szczęścia.

M l i c k i. Tu ją zaraz przyniosą?...

Z d ż a r s k i. Przecież ją trzeba pochować!

M l i c k i Tu ją kazałeś przenieść?! (ze strasznym strachem) Tu! tu! (wpada w furyę i krzyczy) Precz, precz! Bo... bo... (stoi z zaciśniętemi pięściami).

Z d ż a r s k i. (do Olgi) Pani! nasz rachunek jeszcze nie wyrównany. (wychodzi).

(Pauza. Mlicki na środku pokoju z założonemi rękami. Olga podchodzi nieruchoma przy ścianie — przez cały czas patrzyła z zastygłą twarzą na obu mężczyzn).

M l i c k i. (obraca się i podchodzi do niej) Pawda? to prawda?

O l g a. (cicho) Tak, to prawda!...

M l i c k i. (nieprzytomnie) A więc to prawda! Hela nie żyje!... Myśmy ją zamordowali! my!... Ja i ty!... Ty też!... (wybucha dzikim śmiechem) Zamordowałem ją dla ciebie. Ha, ha, ha. Dla szczęścia... dla naszego szczęścia... Zamordowałem... Ha, ha, ha! Dla szczęścia!

O l g a. (patrzy na niego z pogardą, potem wybucha spazmatycznym śmiechem. Mlicki podchodzi ku niej, jak kot przyczajony. Olga cofa się bojaźliwie, naraz słychać hałas zewnątrz. Mlicki wykręca się i chwyta Olgę w strasznem przerażeniu).

M l i c k i. Niosą ją, niosą! Nie wpuszczaj, zamknij drzwi! nie wpuszczaj!

O l g a. (porwana strachem drży — słychać mocne stukanie. Olga i Mlicki cofają się przerażeni. Chwila milczenia. Potem ponowne gwałtowne stukanie).

M l i c k i. (krzyczy dzikim głosem) Nie wpuszczę! Nie wpuszczę!... (rzuca się ku drzwiom).

— — — — — — — — — — —

Zaznaczyłem już na wstępie, iż a k c y i we właściwem jej znaczeniu w dramacie Przybyszewskiego nie ma. Są tylko jej skutki. Osoby tu występujące już dawniej d o k o n a ł y tych wszystkich postępków, które ich tragicznymi uczyniły; teraz mają sobie tylko p o w i e d z i e ć, jak się rzeczy mają. Wskutek tego braku faktów, działania, cała sztuka polega na u ś w i a d a m i a n i u s o b i e s y t u a c y i. Każda z osób działających — wyjąwszy Zdżarskiego — przechodzi w ciągu dramatu proces takiego uświadomienia.

Stąd też autor z zewnętrzną charakterystyką osób, z ich postępkami mało ma

tu do czynienia. Wszak to gotowe już charaktery, które na scenie się pojawiają; wszak losy ich już dawniej były zdecydowane, zanim pierwszy akt się począł. O ile jednak już sam pomysł wyklucza zewnętrzną charakteryzacyę życia osób działających, o tyle zniewala autora do przeniknięcia ich istoty, do wykazania wnętrznych ich pobudzeń, aby widz z następstw, które na scenie widzi, mógł wnioskować o całem ich życiu poprzedniem, o ich charakterze.

Temat więc sam nastręcza tu tę wielką trudność, iż zmusza autora do wykazania charakteru osób jedynie zapomocą słów, a nie pozwala illustrować go zapomocą czynów. Naodwrót jednak daleko łatwiej słowem określić stan psychiczny, niźli czynem. Łatwiej mówić, niż działać. Ale — zauważył ktoś słusznie — głęboka znajomość duszy nie stanowi wcale jeszcze o zdolności dramatycznej. Chociaż kto dokładnie wie, co się dzieje w duszy osób, które zamyśla wprowadzić w dramat, nie wie bynajmniej temsamem, jak się te dusze ujawią widzowi, patrzącemu tylko na ciała.

To też autor wcielić się musi zarówno w postaci osób, wprowadzonych na scenę, jak też w dusze tych wszystkich, którzy w widowni ze słów, z ruchów, z niedomówień przeczuć muszą, co na zewnątrz wydobywa się z głębi dusz tych osób, obracających się na scenie. Dopiero wówczas, kiedy autor nad duszą tłumu słuchaczy tak zapanuje, iż znanym mu jest każdy jego ruch i każda chwila apatyi — dopiero wówczas przemówić do niego może słowami, nie potrzebującemi czynów dla ich potwierdzenia, wówczas działać na ich umysł, nerwy, całą organizacyę psychiczną może tak, jak mu się żywnie podoba.

I na tem — zdaniem mojem — zasadza się potęga, z jaką autor „Dla szczęścia“ ujarzmia, tyranizuje owego widza czy czytelnika, zarzucając mu stany swe psychiczne z taką siłą, iż wobec niej wszelka krytyka i kontrola ustaje.

Gorąco mi, pot mię oblewa, ilekroć wczytuję się w dzieła Przybyszewskiego. Czuję się bezsilnym... Ten człowiek mocą, której się oprzeć niepodobna, pakuje czytelnikowi w mózg, czy w serce, czy w duszę — mniejsza o umiejscowienie! — świat, o którym się nie śniło dotychczas. Jak gdyby mi kto pokazał nieznany, przedziwnego kształtu i blasku kamień. .

— — — — — — — — — — —

Czytałem raz opis wrażenia, jakie bardzo subtelny widz wyniósł z teatru po premierze, przyjętej bardzo ciepło. O ile sobie przypominam, autorem tej impresyi był Jan Jörgensen, a dziełem, w którem ją wyczytałem „Kłamstwa i prawda życia“. Swemu wrażeniu dał on mniejwięcej taki wyraz:

...o d w r ó c i ł e m s i ę i s p o j r z a ł e m n a k l a s k a j ą c y c h. Ż ą d z a w z r u s z e ń, u m i a r k o w a n e o b u r z e n i e, z a d o w o l o n a c h u ć w i d o c z n e b y ł y n a w s z y s t k i c h t w a r z a c h — c z e r w o n y c h, b l a d y c h, g ł a d k i c h, p o m a r s z c z o n y c h, m ę s k i c h i k o b i e c y c h...

Analogicznemu wrażeniu uledz można było podczas przedstawienia „Dla szczęścia“.

Ale bo też to z prawdziwym koncertem artystycznym, wystąpili nasi artyści! Panie Siennicka (Olga) i Bednarzewska (Helena), panowie Adwentowicz (Mlicki) i Solski (Zdzarski) — zwłaszcza ten ostatni — tak zharmonizowaną na scenie stanowili całość, tyle w najdrobniejszym nawet szczególe okazali pracy myślowej — iż przepuszczenie ich gry przez filtr krytyki, równałoby sią zamachowi na coś doskonałego i nieprześcignionego.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(*Faust — Koncert Kościuszkowski*).

Karol Gounod pozostawił dwa dzieła które po dziś dzień utrzymały się na wszystkich scenach świata, „Fausta“ i „Romeo i Julia“. Cała kolekcya sentymentalnych Łucyi, Favorit i Trawiat przeżyła się już zupełnie, ze sceny przeszły w wyłączne posiadanie zepsutych włoskich katarynek, a „Faust“ pozostał zawsze ten sam, świeży, pełen ogromnego natchnienia i uroku — dziś jeszcze zachwyca nas, a śpiewakom daje niezmiernie wdzięczne pole do popisu...

Najgłębiej muzycznie pomyślaną jest postać Mefistofelesa która wysuwa się zawsze na pierwszy plan, tak, jakby cała opera dla niego głównie była napisana. W literaturze operowej trzy są postaci dyabłów zbliżone do siebie, jakby jedna była na drugiej wzorowana, Gounoda, Offenbacha i Mayerbeera. Dyabeł Mayerbeera jest szopkowy, brak mu pierwiastków filozoficznych i przypomina najwięcej naszego „ditka“ z bajek. Zły duch Offenbacha jest tym demonem złego, okrutnym i nieprzebłaganym, pełnym jadu i złośliwości, którego śmiech rozbrzmiewa dziko tam gdzie rozpacz, śmierć i nieszczęście złączyły się na ludzką niedolę. Muzycznie jest on zupełnie oryginalny i może śmiało równać się z Mefistolesem Gounoda, który jest co do siły i dramatyczności najpotężniejszą postacią muzyczną.

P. Jeromin odtworzył tę trudną dla śpiewaka postać pod względem muzycznym i scenicznym znakomicie. Piękny głos jego brzmiał potężnie, na tle burzliwego akompaniamentu orkiestry. P. Korolewicz, jako Małgorzata miała wiele szczęśliwych momentów, a w grze okazała wiele inteligencyi i rutyny. Szkoda tylko że czasami była w rażącej niezgodzie z orkiestrą. Stanowczo trzeba więcej uważać na pałeczkę dyrygenta. P. Szymański (Walenty) bardzo pięknie odśpiewał aryę w czwartym akcie, darząc nas hojnie swoim pięknym metalicznym głosem. Dlaczego jednak przepiękna arya z medalionem przeszła tak zimno i bez wrażenia? Przecież to rzecz ogromnie efektowna dla barytona i zasługuje na wielką uwagę.

P. Myszuga w roli tytułowej, nigdy, przed laty nawet nie był dobrym. Traktuje on swą rolę po macoszemu, bez najmniejszego zainteresowania się, jakby z musu, a efekt pragnie wywołać zręczną końcową sztuczką i pod tym względem nigdy się nie zawodzi.

P. Ruszkowska jest nam zawsze bardzo sympatyczną, ale śpiewała partyę Siebla zanadto chwiejnie i niepewnie. P. Tarnawski u zupełniał pięknie ensambl. Wystawa była imponującą i staranną aż do najdrobniejszych szczegółów. Dla pana Czerlańsky'ego za chóry i orkiestrę, zachowujemy ogromną wdzięczność.

* * *

W ubiegłą niedzielę odbył się w Sokole wieczorek ku uczczeniu pamięci Tadeusza Kościuszki. Na program złożyły się produkcye wokalne, gra na skrzypcach znanego amatora Pana Klauseka, deklamacya i ćwiczenia zastępu Sokołów.

Po raz pierwszy we Lwowie wystąpiło na tym wieczorku dwoje młodych adeptów sztuki: panna Makosz i pan Miś.

Pannę Makosz sopranistkę koloraturową słyszeliśmy już na ostatnim popisie uczenic szkoły pani Camilowej, gdzie wraz z panną R. wybiła się znacznie ponad poziom popisujących się elewek. Panna M. posiada głos niewielki, ale bardzo milutki, giętki, nadający się do pasaży, trylów, staccatów i wszelkich karkołomnych sztuczek koloraturowych. W tym kierunku uczyniła już pani Camilowa, sama znakomita koloraturzystka, ze swoją uczenicą bardzo wiele. Dowodem walc z „Romea i Julii“ odśpiewany poprawnie i nagrodzony hucznemi oklaskami.

Głos pana Misia o wielkiej sile i o szerokiej skali, zasługuje, aby nad nim popracować.

Po pilnych studyach u któregoś z lepszych maestrów francuskich, lub niemieckich, uzyskać by mogła opera polska w panu Misiu doskonałego bohaterskiego tenora.

Chór Sokołów pod wodzą druha Bursy sprawił się, jak zwykle, dzielnie.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.